

H E N R Y K W I E C E K

Nazywam się H e n r y k W i ę c e k. Urodziłem się 8.2.1922 r. w Kobylej Górze, powiat Ostrzeszów. Do 1939 r. mieszkałem z rodzicami w Ostrzeszowie. Ojciec mój, Alojzy, był rzeźbiarzem, zmarł już w 1928 r. Matka moja Maria, z domu Sufryd, nie miała zawodu - prowadziła dom. Byłem najstarszym synem. Miałem dwóch braci, Jochima i Zbigniewa, który zmarł w wieku niemowlęcym. Po śmierci ojca, sytuacja materialna naszej rodziny bardzo się pogorszyła. Matka musiała szukać pracy, a o pracę wtedy było ogólnie trudno, tym bardziej dla kobiety bez zawodowego przygotowania. Ostatecznie znalazła zatrudnienie w tak zwanej Kuchni Mlecznej dla Niemowląt. Pracowała dwanaście godzin dziennie, zarabiała niewiele. Na prowadzenie domu i nasze wychowanie miała bardzo mało czasu. Właściwie bratem i mną zajmowali się sąsiedzi. Warunki materialne nam się poprawiły dopiero w listopadzie 1934 r., z chwilą ponownego zawarcia małżeństwa przez moją matkę z Czesławem Stawskim, z zawodu rzeźnikiem. Do szkoły powszechnej chodziłem w Ostrzeszowie. Po jej ukończeniu dojeżdżałem do Ostrowa, do Gimnazjum Kupieckiego. W 1933 r. wstąpiłem do harcerstwa, które wywarło wielki wpływ na ukształtowanie mojej postawy życiowej. W 1937 r. założyłem XIV Drużynę Harcerzy im. Ks. Ignacego Skorupki i zostałem jej drużynowym. Drużyna ta składała się z młodzieży pozaszkolnej, w wieku 15 -20 lat, tej młodzieży, która po szkole powszechnej nie poszła do gimnazjum, nie kontynuowała nadal nauki, a zdobywała zawód bezpośrednio u mistrzów, u kupców, albo była bezrobotna. Wtedy o zatrudnienie nawet w charakterze ucznia było trudno. Zainteresowania chłopców były dość konkretne. Wszystko, co było związane z techniką było dla nich ciekawe. A więc w drużynie zajmowaliśmy się przygotowaniem do krótkofalarstwa, rozpoczęliśmy kurs szybowcowy, którego niestety nie ukończyliśmy,

bo szybowisko na Bałczynie zostało zlikwidowane z powodu zbudowania linii wysokiego napięcia u podnóża wzgórza.

Powiat ostrzeszowski zawsze był powiatem granicznym. W czasie zaborów, na wschodzie wzdłuż rzeki Proсны była granica niemieckorosyjska. Po zwycięskim powstaniu wielkopolskim granica polsko-niemiecka przebiegała w odległości około 15 km za zachód od Ostrzeszowa. To graniczne położenie rzutowało na niewielkie ożywienie gospodarcze miasta i okolicznych miejscowości. Ostrzeszów był miastem drobnych kupców ³ w oparciu o złoża bardzo dobrej gliny, w mieście działał niewielki przemysł ceramiczny, dwie kaflarnie wyrabiały kafle z białej glinki i trzy cegielnie wypalały wysokiej klasy cegły i dachówki. Było też rzemiosło, które obsługiwało ludność Ostrzeszowa i okolicy.

W mieście, od pokoleń, panował duch patriotyzmu pielęgnowany przez Kościół, organizacje takie, jak "Sokół", Towarzystwo Czytelników Ludowych, różne chóry i szkoły języka polskiego. Silne były wspomnienia zwycięskich walk powstańczych prowadzonych w okolicach Ostrzeszowa, w styczniu 1920 r. Miasto stale jeszcze nimi żyło.

Zapatrywania polityczne społeczeństwa były endeckie. Stronnictwo Narodowe bezwzględnie dominowało w mieście i na wsiach.

Struktura narodowościowa była dość zdecydowana - polska. Były wprowadzić grupy niemieckie, ale nie było ich wiele i nie rzutowały na oblicze miasta. Tylko niektóre wsie były czysto niemieckie. Żydów było zaledwie kilka rodzin, około trzydziestu osób. Stosunki między tymi narodowościami układały się pozornie poprawnie. Dopiero w 1939 r. ujawniło się, że Niemcy nie byli lojalni w stosunku do Polski, że tajnie organizowali się, przygotowywali piątą kolumnę, organizowali dywersję, siali wśród polskiej ludności popłoch, młodzież niemiecka uciekała przez gra-

nicę, aby nie brać udziału w wojnie po stronie polskiej. Kiedy, jako harcerze współdziałaliśmy z wywiadem Obrony Narodowej i przemierzaliśmy na rowerach teren przygraniczny, ujawniliśmy kilkunastu dywersantów i tych, którzy uciekali przez granicę do Rzeszy.

W maju 1939 r., w Ostrzeszowie utworzono Batalion Obrony Narodowej. Do tego Batalionu powołano najbardziej zaufanych rezerwistów. Nie byli oni skoszarowani, mieszkali w swoich domach, jedynie odbywali okresowe kilkudniowe ćwiczenia. Mundury mieli w domach, broń pobierali z magazynów kompanii. W ramach przygotowań do wojny utworzono wtedy takie bataliony w wielu miejscowościach leżących wzdłuż granic z Niemcami. Na dowódcę plutonu Karabinów Maszynowych I Kompanii Ostrzeszowskiej, /Kompanie nosiły nazwy związane z miejscowościami stacjonowania: Ostrzwszowska, Mikstacka, Doruchowska./ został powołany opiekun drużyny druh ppor. Antoni Kaj. Opiekuna mianowano w przypadku, kiedy drużynowy był nie pełnoletni i nie mógł ponosić odpowiedzialności prawnej. W 1939 r. miałem dopiero 17 lat, a więc jeszcze nie byłem pełnoletni i dlatego nasza drużyna miała dorosłego opiekuna. Druh ppor. A.Kaj zwrócił się do nas, jako swojej podopiecznej drużyny z prośbą, abyśmy mu pomogli w wykonaniu zadania, którego czekało, mianowicie w przygotowaniu broni do ćwiczeń. Karabiny maszynowe, zresztą starej francuskiej produkcji sprzed I wojny światowej, leżały w skrzyniach, porozkładane na części, grubo zawazelinowane. To wszystko należało doprowadzić do sprawności technicznej. Gdyby to robili żołnierze na ćwiczeniach straciliby czas przeznaczony na właściwe szkolenie. Więc myśmy się w tej wazelinie babrali, czyścili broń do suchego stanu i składali. Ta robota pasjonowała chłopaków, bo jak już wspominałem, techniczne zajęcia ich interesowały przede wszystkim. Naszą robotę

zaakceptował dowódca batalionu i dowódca kompanii. To dało początek przyszłej szerszej współpracy. Już wkrótce wykonywaliśmy różne inne prace, np. biurowe. W kancelarii kompanii sporządzaliśmy listy wypłat żołdu. To była naszym zdaniem śmieszna sprawa. Żołnierze otrzymywali dwa i pół grosza za jeden dzień ćwiczeń. Trzeba to było zapisać w książce żołdu mimo, że żołnierze rezagnowali z pobierania tych drobnych pieniędzy i z góry przeznaczali je na Fundusz Obrony Narodowej, FON. Ale w książkach musiało to być zapisane. Poza tym wypisywaliśmy karty powołania na następne ćwiczenia, roznosiliśmy te karty do żołnierzy. Pracowaliśmy w magazynach broni, gdzie porządkowaliśmy broń. Karabiny były każdorazowo po ćwiczeniach zdawane do magazynu. Dla naszej drużyny pracy w Batalionie było sporo. Codziennie pięć do dziesięciu osób miało jakieś zajęcie. Dowódca Batalionu chciał się nam za tę pomoc odwdzięczyć i zaproponował drużynie udział w sierpniowej dwutygodniowej koncentracji Batalionu. Wtedy w oparciu o wyżywienie z kuchni batalionowej, czy kompanijnej drużyna mogłaby zorganizować sobie obóz letni. Poza tym, na naszą prośbę, dowódca wyraził zgodę na przeszkolenie całej drużyny w przewodowej łączności telefonicznej. Wszyscy chłopcy takie przeszkolenie odbyli. Nasza współpraca z Batalionem trwała od maja do sierpnia. Na 21 sierpnia była zapowiedziana koncentracja. Tymczasem dzień przedtem, już alarmowo, został cały Batalion powołany do broni. Alarm wyglądał w ten sposób, że żołnierz zawiadamiał żołnierza według z góry ustalonego planu, tak zwanego "łańcucha alarmowego". Skrzykiwali się także przy pomocy telefonów, ale tych było bardzo mało. W ten sposób mimo, że żołnierze mieszkali w promieniu 10-15 km od miejsca stacjonowania kompanii, to w ciągu 2 godzin potrafiła się kompania zebrać. Wieczorem 20 sierpnia żołnierze stanęli pod bronią. W nocy Kompania Ostrzeszowska, a rano 21 września ?

Sierpnia

Kompanie Doruchowska i Mikstacka zajęły przygotowane na zachód od Rojowa i Olszyny stanowiska obłonne. Było to około 15 km od granicy. Tam już wcześniej ludność cywilna wykopała szańce, a saperzy zrobili zapory i zasieki. Nasza drużyna wraz z plutonem łączności całą noc budowała linie telefoniczne. To już było zadanie bojowe. W międzyczasie stanowiska kompanii się zmieniały, bo nadchodziły oddziały 28 Pułku 10 Łódzkiej Dywizji, które częściowo luzowały pozycje tak, że ostatecznie Batalion stanął w miejscowościach Chojnik i Olszyna przed wzgórzem Bałczyna, to jest jakieś 3 - 4 km na zachód od Ostrzeszowa. Tam trwaliśmy do 1 września.

1 września, kiedy Niemcy przekroczyli granicę Polski, dowódca Batalionu zwolnił nas do domu. Uważał, że jego zobowiązanie wojna przekreśliła, obóz nie może się odbyć, więc mamy wracać do rodzin. Natomiast harcerze nie chcieli się z tym zgodzić. Zobowiązywali mnie, jako drużynowego do tego, żebym poszedł do dowódcy i prosił aby, nas przyjął do Batalionu jako ochotników, byliśmy przesież przygotowani do łączności i do obchodzenia się z bronią. Po długich pertraktacjach dowódca Batalionu kpt. Jan Waydowicz zgodził się na przyjęcie całej naszej grupy i od 1 września staliśmy się żołnierzami plutonu łączności Ostrzeszowskiego Batalionu Obrony Narodowej. Zaraz nas umundurowano i wyposażono w broń. Rozpoczęliśmy nasz szlak bojowy. Harcerze ochotnicy byli w wieku od 17 do 19 lat. Kilku z nich jeszcze pełnych 17 lat nie ukończyło. Było nas około dwudziestu: . Władysław Graf, Wiktor Stachowiak, Zygmunt Sufryd, Stefan Kuroszczyk, Franciszek Moś, Józef Perski, Edmund Sorek, Bolesław Kamola, Wacław Sobczak, Bogdan Kwiatkowski, Jan Cuprych, Tadeusz Kukuła, Stanisław Jaroń, Jerzy Stempniewicz, Wiktor Strubicki, Janusz Wiza i inni, których nazwisk już dzisiaj nie pamiętam. 1 września przedpołudniem stawialiśmy wraz z Ba-

talionem opór przeważającej sile niemieckiej na wcześniej przygotowanych liniach obronnych w okolicach Bałczyny koło Ostrzeszowa. Popołudniu wycofaliśmy się na linie obronne nad Prosną koło Grabowa, gdzie nazajutrz znów starliśmy się z Niemcami. Stale się cofając, 3 września dotarliśmy do miejscowości Warta nad rzeką Wartą. Tutaj spotkaliśmy się z pierwszym wielkim niemieckim bombardowaniem. Drogi i pobocza oraz mosty były zatłoczone wojskiem, cywilną ludnością, wozami i żywym inwentarzem. W tym wielkim tłoku były duże grupy pacjentów umysłowo chorych wypuszczonych z miejscowego szpitala zupełnie nie rozumiejących sytuacji. Na przeciw tej ciżbie jechała kawaleria, która wyładowała się z wagonów na stacji w Szadku. W to wielkie skupisko ludzi, zwierząt i pojazdów liczne samoloty hitlerowskie, bez żadnych przeszkód, rzuciły bomby oraz z niskiego lotu strzelały z karabinów maszynowych. To, co się działo na ziemi jest nie do opisanie. To było piekło! Dodam jeszcze, że tam nie było prawie żadnego schronienia.

Od 4 do 6 września 1939 r. nasz Batalion zajmował przydzielone pozycje na wałach przeciwpowodziowych nad rzeką Wartą. Wtedy jeszcze wierzyliśmy, że rzeka i przygotowane tutaj umocnienia zatrzymają wojska niemieckie. Mieliśmy nadzieję, że front na Warcie się zatrzyma i przy pomocy Francji i Anglii, Niemców zmusimy do odwrotu. Jednak, po odsłonięciu północnego odcinka obrony, jednostki Armii Łódź zmuszone były opuścić stanowiska. Odbywało się to już chaotycznie. Gubiły się i rozpraszały poszczególne jednostki. Wtedy znalazłem się w grupie dwunastoosobowej z jednym wozem taborowym załadowanym trzema beczkami benzyny. Każda beczka 200 l. Muszę powiedzieć, że samochody, dla których ta benzyna była przeznaczona utknęły już 2 września za Kraszewicami i zostały przez nas podpalone. Szliśmy na wschód. W drodze spotka-

liśmy adiutanta dowódcy batalionu por. Cezarego Wizę, który wydał nam rozkaz zameldowania się na najbliższym punkcie koncentracji rozbitych oddziałów. I tak szliśmy do Łowicza, Żyrardowa, Warszawy, /Przez Warszawę przechodziliśmy w tym czasie, kiedy mężczyźni i oddziały nie należące do obrony Stolicy, kierowano dalej na wschód./ do Minska, Siedlec, Białej Podlaskiej. W Siedlcach znaleźliśmy się w bezpośrednim kontakcie z niemieckimi czołgami. Zostaliśmy ostrzelani. Tu dopiero zrozumieliśmy, jakie niebezpieczeństwo zagrażało nam od beczek z benzyną, które nadal wieźliśmy. Po wyjściu z linii obstrzału natychmiast przekazaliśmy benzynę załodze unieruchomionych z braku paliwa samochodów wojsk lotniczych. Nasz marsz odbywał się przy stałych atakach lotniczych. Doszliśmy do Brześcia. Tam powiedziano nam, że zatrzymają w mieście tylko wojska, które są przygotowane do obrony twierdzy, nam kazano iść do Kowla lub Kobrynia. Podczas całej drogi odwrotu nasze samopoczucie było bardzo pesymistyczne. Przez całą drogę atakowały nas niemieckie samoloty. Mijaliśmy setki zabitych ludzi, spalone pojazdy, zburzone mosty i wsie, znacznie uszkodzone miasta. To wszystko robiło przygnębiające wrażenie. Unikaliśmy marszu w ciągu dnia. Przemieszczaliśmy się jedynie nocami, żeby nie narażać się na niebezpieczeństwo. Mieliśmy wrażenie, że Niemcy są tuż za nami, że nas gonią. Takie wnioski wysuwaliśmy z ciągle przesuwanych na wschód punktów koncentracji. Zdecydowaliśmy się pójść do Kobrynia. Bombardowania nie ustawały. Na Polesiu były jeszcze tragiczniejsze w skutkach, bo jak spadło kilka bomb zapalających, to płonęły całe wsie, ponieważ były chałupy drzewiane. W Kobryniu znów koncentracji nie było. Podobnie w Janowie Podlaskim. W czasie bombardowania Janowa Podlaskiego schroniliśmy się za kopiec znajdujący się obok szosy. Po ostrym bombardowaniu okazało się, że leżeliśmy w miejscu, gdzie został w

okrutny sposób zamordowany św. Andrzej Bobola. Miejsce to zostało upamiętnione kopcem z odpowiednią tablicą.

Dopiero w Pińsku, gdzie w nowych koszarach nazbierały się tysiące żołnierzy z różnych rozbitych jednostek, zostaliśmy przydzieleni do nowo utworzonej Kompanii Obrony Narodowej, do której wcielono żołnierzy Obrony Narodowej z Łodzi, Ostrowa, Ostrzeszowa i Kępna. Z ostrzeszowskiego Batalionu Obrony Narodowej znaleźli się tam: kapral Szczepan Adamski, Władysław Czwordoń, plutonowy Stanisław Dobrowolski, harcerz-ochotnik Brunon Głogowski, Jan Kurka, kapral Tomasz Organiściak, harcerz-ochotnik Wacław Sobczak, Michał Szczepański, harcerz-ochotnik Henryk Więcek, chorąży z Ostrowa - nazwiska nie pamiętam i jeszcze dwóch innych żołnierzy, których nazwiska też zapomniałem. Żołnierze z innych jednostek, niż Obrona Narodowa zostali włączeni do Samodzielnej Grupy Operacyjnej "Polesie", która pod dowództwem gen. Franciszka Kłéberga, maszerując na odsiecz Warszawy, stoczyła bohater-^eski bój pod Kockiem. Naszym dowódcą był oficer rezerwy, nauczyciel z Łodzi, jego zastępcą był chorąży z Ostrowa. Tworzyliśmy trzy plutony. Przemundurowano nas w odzież zimową i przebrojono. Dostaliśmy piękne nowoczesne polskie karabiny. Jednym słowem zostaliśmy na nowo zorganizowani i czekaliśmy na rozkazy.

Tymczasem przyszedł 17 września 1939. Wejście Sowietów do Polski było dla nas kompletnym zaskóceniem. Przedtem żadne sygnały, że ze strony wschodniej może nam grozić jakieś niebezpieczeństwo, do nas nie docierały. Byliśmy przekonani, że tu w Pińsku wojsko się zreorganizuje, dozbroi - widzieliśmy duże zapasy broni. Wierzyłem^y, że na poleskich błotach Niemca jakiś czas zatrzymamy, że tu będziemy stawiać opór tak długo, aż przyjdzie pomoc z zachodu, z Francji i Anglii. W tę pomoc święcie wierzyliśmy. Tak, że wiadomość, którą nam rano, po odprawie, przyniósł

dowódca kompanii na miejsce postoju, / W dzień staliśmy w lesie, poza koszarami, aby ustrzec się bombardowania, jedynie na noc wtacaliśmy do zabudowań. / ścięła nas poprostu z nóg. Wszyscy żołnierze płakali. Uświadomiliśmy sobie naszą beznadziejną sytuację. Jedyną perspektywę jaką widzieliśmy, to niewola u któregoś z agresorów. Szczegółów nie znaleźliśmy. Pierwsze wiadomości po wkroczeniu wojsk radzieckich do Polski były tylko takie, że Rosjanie weszli i posuwają się do przodu. Nic dokładniejszego nie wiedzieliśmy. Natomiast zauważyliśmy, że w tym momencie, natychmiast zmieniło się zachowanie miejscowej nie-polskiej ludności. Porzucili posterunki, rabowali magazyny wojskowe, rozbijali pociągi. Wszystko robili dla zdobycia broni przeciw Polakom. W celu opanowania sytuacji, dowódca Marynarki Rzecznej w Pińsku, komandor Zajączkowski, objął dowództwo nad garnizonem pińskim. Dostaliśmy rozkaz objęcia warty przy magazynach broni. Nie znając dokładnie sytuacji, jaka się w mieście wytworzyła dowódca naszej kompanii wyznaczył do służby trzech najmłodszych żołnierzy, między innymi i mnie. Odległość do magazynu wynosiła 2 kilometry. W drodze do nich zostaliśmy ostrzelani. Położyliśmy się w dole od wybuchu granatu chroniąc się przed strzałami. W lasku samosiejek było widać, jak gałązki postrzelone ponad naszymi głowami, upadają na ziemię. Wtedy nadjechał autobus z marynarzami, którzy wyskoczyli z rewolwerami w naszym kierunku wołając: "Kto wy jesteście?" Zameldowaliśmy, że jesteśmy w tej chwili ostrzelani, a mamy rozkaz pilnowania magazynów. Zabrali nas z sobą, kazali się zaprowadzić do kompanii. Kompania została od razu postawiona na nogi. Jeden pluton pośpiesznie został zabrany przez marynarzy, żeby zrobić porządek w magazynie broni, gdzie miejscowa ludność ukraińska czy białoruska - nie wiem, jaka narodowość tam przeważała - a również Żydzi, kradła broń. Te mniejszości narodowe wyra-

źnie sprzyjały Sowietom i chciały zrobić rebelię. Nasi żołnierze spłoszyli złodziei broni, uciekających wezwali do zatrzymania. Niektórzy wynosili po dwa, trzy karabiny. Na wezwanie nie zatrzymali się i wtedy dwóch z nich zostało przez nasz pluton zastrzelonych. Pozostała część kompanii opanowywała podobną sytuację na dworcu kolejowym, gdzie rozkradano wagony. Na stacji stały wagony z zaopatrzeniem oraz z bronią i tam też grabiono. Odczuwaliśmy, że te akcje zdobywania broni były zorganizowane. Opanowanie sytuacji nastąpiło dość szybko. Potem, do 20 września, życie w mieście toczyło się normalnie. Jeszcze było prowadzone dochodzenie prokuratorskie w sprawie zastrzelonych złodziei broni. Zadaniem naszej kompanii było pilnowanie porządku w mieście. Jednostki Grupy Operacyjnej "Polesie", które stacjonowały w koszarach przeszły na drugą stronę Piny i szły na zachód. W tym czasie Marynarka topiła swoje jednostki i likwidowała urządzenia, które nie powinny być dostać się w ręce wroga. Tak wyglądało w Pińsku. Tymczasem sytuacja w okolicy miasta, była całkowicie opanowana przez miejscowych komunistów. Kiedy dowódca wysłał patrol, w sile jednej drużyny na zwiad w kierunku Brześcia, drużyna nie mogła zadania wykonać, bo została we wsi silnie ostrzelana przez działające tam bojówki.

20 września, w ciepłe popołudnie, ubrani w letnie drelichowe mundury opuściliśmy naszą kwaterę, która mieściła się w szkole w pobliżu rynku i gotowi do wymarszu staliśmy na placu przed kościołem i klasztorem jezuitów czekając na dalsze rozkazy. Jeszcze było jasno, kiedy dowódca zarządził wydawanie kolacji. Do naszej trójki najmłodszych żołnierzy należało fasowanie posiłków dla dowódców. Jako pierwsi pobraliśmy w menażki zupę dla oficerów i przy okazji dla siebie. W tym momencie zarządzono natychmiastowe przejście przez most na drugą stronę Piny. Most znajdował się

około 100 m od miejsca naszego postoju. Za żołnierzami wolno ruszyły tabory. Skoczyliśmy na wóz, na którym leżały nasze plecaki, mundury zimowe i koce, i ... zabraliśmy się do jedzenia kolacji. Zupa bardzo nam smakowała. W chwili, kiedy wóz, na którym się dzieliśmy znalazł się na osi głównej ulicy Pińska - równoległej do rzeki, wychodzącej na kościół - zauważyliśmy sunący na nas ulicą z przeciwnej strony, ogromny czołg. Za chwilę ujrzelśmy błyski i usłyszeliśmy serie strzałów karabinu maszynowego. Mimo bliskiej odległości nikt nie został ranny ani zabity. Zeskoczyliśmy z wozu i schroniliśmy się za wielkie gotyckie przypory kościoła. Na wozie został cały nasz majątek. Na moście była następująca sytuacja: Kompania przeszła już na drugą stronę, tabory wjeżdżały na most, czołg skręcił w kierunku mostu i wyrównał z taborami. Prawie w tym samym czasie wjeżdżały na most wóz z naszym ekwipunkiem oraz czołg sowiecki. Marynarze, którzy mieli za zadanie wysadzenie mostu, nie mogli już dłużej czekać i detonowali miny. Czołg jeszcze na most nie wjechał, a nasz wóz wraz z mostem wleciał do Piny. Część taborów i kuchnia oraz kilkunastu żołnierzy zostało odciętych od kompanii.

Nasza trójka, pod ostrzałem wjeżdżających na plac następnych czołgów uciekała chowając się za kolejnymi przyporami kościoła aż znaleźliśmy schronienie w klasztorze. Tam znajdował się szpital polowy. Kazali nam odłożyć karabiny i przyjęli nas do siebie. A przez plac, przez całą noc, ciągnęły kolumny czołgów, samochodów i pieszych jednostek wznoszące okrzyki "urra!", "urra!" i strzelające do kościoła i klasztoru. Nas pociski nie raziły ponieważ leżeliśmy przy ścianach. Broniły nas grube, mające chyba półtora metra, mury. Jedynie wpadające przez okna kule trafiając w przeciwległą ścianę wzniecały tumany ceglanego pyłu, którym byliśmy grubo pokryci. W pewnym momencie zapalił się dach koś-

cioła. Przy takiej "iluminacji", z dzikimi okrzykami czerwonoarmiejcy zajmowali miasto. O świcie do wnętrza klasztoru weszli cywile, przeważnie Żydzi, z czerwonymi opaskami na rękawach, uzbrojeni w rewolwery albo szable i zmusili nas i wszystkich rannych do opuszczenia pomieszczeń i poddania się Roboczo Kresciańskiej Krasnej Armii. Na dziedzińcu klasztornym przejęli nas sowieccy żołnierze, zrobili rewizje, zabrali część ekwipunku i rzeczy osobistych, nawet łyżki i widelce, i między sobą - jeszcze na naszych oczach - tym się podzielili. Żołnierze sowieccy wyglądał żałośnie. Byli ubrani w długie szare siepiące się u dołu szynele, pasy mieli parciane, niektórzy mieli karabiny na sznurku i mieli rozmaite nakrycia głowy. Zrobili na nas bardzo negatywne wrażenie. Wkrótce odprowadzili nas na wylot ulicy, którą poprzedniego dnia wjechał czołg. Stała tam już grupa innych jeńców, między innymi naszych kolegów z kompanii. Rozkazy, które wydawali Sowieci, dla nas nie znających języka rosyjskiego, były bardzo dziwne. "Stanowić po cztery, krugom szago marsz!" Dlaczego idziemy prosto, skoro rozkaz był "szago małsz"? Po poznańsku iść "na szago", to znaczy "na ukos". Naszym zdaniem także bardzo nieprzystająca do poczynań żołnierzy była nazwa armii: "Roboczo Kresciańska". Zadawaliśmy sobie pytanie: "Co to za chrześcijanie, którzy strzelają do kościoła?"

Na ulicy zajmowaliśmy jeden chodnik. Pozostała część ulicy, cała jezdnia i drugi chodnik były dostępne dla normalnego ruchu. Ludzie przechodzili, przejeżdżały różne pojazdy wojskowe. Ludność miejscowa miała do nas dostęp. Żołnierze, którzy nas pilnowali nie przeszkadzali w tych kontaktach. Miejscowi podawali nam picie i jedzenie. Najwięcej przynosili pomidorów i kwaszonych ogórków. Sami nie wiele mieli. Kłopoty z chlebem były jeszcze przed wejściem krasnoarmiejców. Niektórzy z naszych podawali adresy, pro-

sili o zawiadomienie rodzin. Siedzieliśmy przy głównej ulicy miasta prowadzącej do Starostwa i innych ważnych urzędów, byliśmy więc świadkami hołdowniczych pochodów idących z okolicznych wsi do nowych władz. Był to dla nas również widok szokujący ponieważ nie znaliśmy takich zwyczajów. Ludzie nieśli transparenty, portrety Stalina, niektórzy mieli na głowach hełmy, inni wymachiwali szablami, bagnietami, rewolwerami, wszyscy podnosili pięści i wznosili w języku ukraińskim czy białoruskim różne okrzyki, między innymi "Niech żyje Stalin!" W tym samym kierunku, co jakiś czas, prowadzono pod silną eskortą polskich oficerów. W pewnej chwili zobaczyliśmy dowódcę naszej Kompanii Pińskiej. Był w cywilnym ubraniu. Prowadziło go kilku cywilów z rewolwerami w rękę. Od czasu do czasu, od strony Starostwa słychać było strzały karabinów maszynowych. Moje wewnętrzne przekonanie było takie, że naszych oficerów tam na miejscu rozstrzeliwali.

Kontakty z miejscowymi ludźmi mieliśmy dopołudnia. Potem jakimś "komandirowi" to się nie spodobało i zamknął ulicę. Postęrunki przesunął na drugi chodnik. Przez jezdnię już nie można było przechodzić. Z tego czasu przypominam sobie takie zdarzenie: Pewien cywil szedł jezdnią, nie usłuchał krzyków żołnierzy "krugom, krugom!" więc go włączyli do naszej grupy i pojechał z nami do Ostaszkowa.

Około godz. 14.00 żołnierze sowieccy ustawili armatę wycelowaną w naszą stronę. Spodziewaliśmy się najgorszego. Jednak po pierwszym strzale okazało się, że celem zabawy były wieże, poprzedniej nocy spalonego kościoła. Z ostrzeliwanej wieży sypały się kawałki gruzu wielu z nas kalecząc. Bojcy, którzy nas pilnowali, sami dobrze schowani w bramach przyległych domów, bluźnili, wykrzykując: "Nasz Stalin silniejszy, niż wasz Bóg!". Kiedy jedna wieża runęła, ogień skierowano na drugą i wtedy stało się coś,

co można nazwać "Palcem Bożym". Jednego z bojców ciężko ranił odłamek gruzu. Przerwano burzenie wieży, zajęto się ratowaniem kolegi. Po wojnie się dowiedziałem, że ta wieża przetrzymała jeszcze okupację niemiecką, ale jak Rosjanie wrócili po raz drugi kościół zburzono do fundamentów.

Nas popędzono na dworzec. Załadowano do wagonów towarowych, gdzie leżąc na podłodze doczekaliśmy następnego dnia. Rano transport ruszył. Zajechaliśmy do Łunińca, widzieliśmy przez szpary w okienku wagonu jezioro, na którym pływały statki już udekorowane czerwonymi flagami. Denerwowało mnie to, że tak szybko Sowieci opanowali nasze polskie ziemie. Nas informowano, że jedziemy "do domu". W wagonie było około 50 osób, z tego znałem dwunastu żołnierzy z naszej kompanii. Nasza dwunastka trzymała się razem. Jeden z naszych znał język rosyjski - to było bardzo ważne. Do innych ludzi nie mieliśmy zaufania. W czasie podróży wybrano "starostów", to znaczy, jak ktoś miał chęć być "starostą", to kazał się wybrać. "Starostowie" chodzili, co jakiś czas, na odprawy, na których ich uświadamiano, jak teraz będziemy mieć dobrze. Kiedyś dostali czerwone kokardki, aby je nam rozdzielić, i ku mojemu zgorzeniu i przypuszczam, że nie tylko mojemu, niektórzy żołnierze do polskich mundurów te czerwone kokardki sobie poprzyczepiali i wydawało się, że także wierzyli w informacje, które starostowie z odpraw przynosili. Po czterech dniach znaleźliśmy się w Baranowiczach. Tu usłyszeliśmy, że wiozą nas na jakiś punkt koncentracji, skąd zostaniemy rozesłani do miejscowości rodzinnych. Ale w te opowiadania już przestaliśmy wierzyć. Czerwone kokardki zaczęły z polskich mundurów znikać. Z każdym kilometrem było ich coraz mniej. W Baranowiczach przesadzili nas do pociągu o szerokich torach. Byliśmy zdziwieni, że w Polsce były takie tory. Pewnie dla ułatwienia wymiany towarowej ze Związkiem

Radzieckim , ten ostatni odcinek kolei do granicy miał już szerokie tory. Kiedy przekraczaliśmy miejscowości graniczne Stołpce - Niegarełoje też w nas wmawiano, że wiozą nas "do domu". Zresztą przez cały czas, później w Ostaszkowie też to słyszeliśmy. Granica zrobiła na nas okropne wrażenie. Wykoszony dwustumetrowy pas w lesie, tunele pod torami, balkony nad torami, z każdej strony pociąg był obserwowany. Dobrze nas obejrzano z wszystkich stron zanim wjechaliśmy do Związku Radzieckiego. Granicę przekraczaliśmy w dniu 25, a może 26 września 1939r. W Niegarełojach znowu zaskoczenie. Na placu przed dworcem kolejowym zobaczyliśmy olbrzymią, wysoką na dwa piętra piramidę zboża. To już było zboże wywiezione z Polski. W wagony ładowali zboże i wywozili tuż za granicę, do pierwszej swojej miejscowości. Niezrozumiałe było dla nas takie składowanie zboża. Deszcz już padał i można było się spodziewać, że zamoczone zboże ulegnie zniszczeniu. Nasz pociąg stale się wydłużał. Na kolejnych postojach doczepiano dalsze wagony z jeńcami. W czasie całej podróży nie otrzymaliśmy żadnego posiłku, Jedyne "starostowie" przynosili do wagonu w wiadrach zimną wodę. Jedli więc jedynie ci, którzy mieli swoje zapasy. Byli tacy co się z innymi dzielili. W Niegorałowach już byliśmy pewni, że jedziemy w głąb Rosji do niewoli. Wszelka nadzieja zniknęła. Jechaliśmy przez znane nam z historii miejscowości: Minsk, Smoleńsk, Wielkie Łuki. Potem wieźli nas przez ogromne, ciągnące się w nieskończoność pola - bez żadnych zabudowań, bez żadnych drzew, albo przez lasy, krzaczaste, bagniste, nie przypominające nam zupełnie naszych uporządkowanych lasów. Z tej drogi utknął mi w pamięci taki szczegół, a mianowicie, że każdy słup telegraficzny jaki mijaliśmy był otoczony czerwoną gwiazdą ułożoną z cegieł lub tłuczni ceglanego. Cała trasa była udekorowana czerwonymi gwiazdami. Muszę jeszcze powiedzieć, że naszym pociągiem jechał cały zabrany

z Pińska szpital polowy. Ranni żadnej pomocy z zewnątrz nie otrzymywali. Była jedynie pomoc lekarska tych polskich lekarzy, którzy się znaleźli w transporcie. Oni w miarę posiadanych leków pomoc rannym świadczyli. Lekarzom pomagały pielęgniarki. Wydaje mi się, że ze rannymi jechało sześć pielęgniarek. O wypadkach śmierci w czasie transportu nie słyszałem.

Dnia 28 września 1939 r., krótko przed zmrokiem dotarliśmy do miejscowości Ostaszków. Rozkazano nam opuścić wagony. Przed nami rozciągało się wielkie jezioro, na którym widać było sylwetki statków i barek. Wiał silny, mroźny wiatr, padał deszcz ze śniegiem. Drelichowy mundur nie chronił mnie przed dokuczliwym zimnem. To też, kiedy ładowano nas na statek starałem się dopchać na pokład obudowany, a nie zostać na górnym otwartym pokładzie, albo co jeszcze gorsze, na barce. Statek, który nas przewoził nazywał się "Sowiet". Miał dwa pokłady. Na każdym ulokowano 300 ludzi. "Sowiet" ciągnął trzy barki - każda brała po 200 osób. Transportowano wtedy na wyspę pierwszą grupę jeńców, która liczyła 1200 żołnierzy. Na dolnym pokładzie, gdzie zadowolony zająłem miejsce, wkrótce stało się bardzo duszno. Ociekałem potem. Wszyscy odczuwaliśmy silne pragnienie. Przez luki nabieraliśmy w menażki wodę z jeziora, piliśmy i podawaliśmy sąsiadom. Woda nas trochę cuciła. Wydawało się, że płyniemy godzinami. Wreszcie, już w zupełnych ciemnościach wyszliśmy na nieznany ląd. Pamiętam, że wchodziliśmy po schodach, potem był oświetlony dziedziniec, skąd zaprowadzono nas do wielkiej sali. Po prześwitujących spod ^{Tak} wapna malowideł ściennych zorientowaliśmy się, że jesteśmy w jakimś pomieszczeniu sakralnym. Jak się później dowiedzieliśmy od miejscowej ludności zamieszkującej sąsiednią wyspę i zatrudnionej w obozie, była to cerkiew należąca do klasztoru, którego zabudowania wykorzystano na obóz jeniecki. Klasztor znajdował

się na wyspie Niława Pustynia, to jest na jednej z licznych wysp na jeziorze Seliger, dającym początek największej rzece Europy - Wołdze. W XVI wieku na wyspie osiadł pustelnik Nił Stobieński. Od jego imienia pochodzi nazwa wyspy. Pustelnia stała się celem licznych pielgrzymek, zrobiła się sławna. Wkrótce przybyło pustelników, zbudowano klasztor i cerkiew, najpierw drewniane, a w ubiegłym stuleciu na ich miejscu postawiono wspaniałe klasycystyczne zabudowania. Wśród jeńców opowiadano, że ostatnio zamieszkiwało w nich 4000 zakonników. W czasie rewolucji październikowej klasztor zniszczono, zakonników wyrżnięto albo potopiono. W 1920 r. trzymano tutaj polskich jeńców z wojny polsko-bolszewickiej - opowiadał o tym jeden z współtowarzyszy, który znalazł się na wyspie już po raz drugi.

W pomieszczeniu pocerkiewnym rozpoczęło się ewidencjonowanie jeńców, były krótkie przesłuchania i pobieżne "badanie lekarskie". "Lekarzy" bardziej interesowały medaliki i krzyżyki niż stan naszego zdrowia, robili sobie z nich żarty, jednak nikomu ich nie odbierali. Jeszcze tego samego dnia dano nam, po raz pierwszy od ośmiu dni, gorącą zupę i kawałek chleba. Tym, którzy nie mieli własnych menażek dano gliniane miski i drewniane łyżki. Ja nie miałem niczego, więc zabrałem sobie taką miskę. Potem gwoździem wywierciłem na brzegu dziurkę, zrobiłem zawieszkę z drutu i przez cały czas pobytu w Ostaszkowie zawsze przy sobie nosiłem. Szczęśliwie jej nie zbiłem i w ten sposób miałem możliwość fasowania zupy. Kto nie miał własnego naczynia najczęściej nie jadł, bo nie miał w co swojej porcji pobrać. Tylko pierwszego dnia jedliśmy przy stołach w stołówce. Później to pomieszczenie służyło dla tych co otrzymywali dodatkowy posiłek za pracę, pozostali jedli na swoich "komnatach".

Po posiłku ulokowano cały transport jeńców w budynku znajdującym się naprzeciw głównego wejścia do klasztoru. Dawne cele

mnichów zostały zabudowane trójpiętrowymi pryczami. Były one przygotowane w ostatniej chwili, deski pachniały jeszcze żywicą. Na pryczach ułożono tyłu ludzi, że można było leżeć jedynie na boku. Nie było żadnych sienników, czy jakiegokolwiek słomy - gołe deski. W pomieszczeniu panował półmrok. Oświetlenie stanowiła jedna słaba żarówka. Spośród jeńców znających język rosyjski wyznaczono tak zwanych starostów, którzy odpowiednio poinstruowani przez władze obozowe kierowali zespołami ludzi.

Warunki sanitarne były skandaliczne. Wprawdzie na parterze, w budynku, który zajmowaliśmy było pomieszczenie z otworami w posadzce, szumnie nazywane ubikacjami, jednak nie wystarczało dla tylu ludzi. Wkrótce cały teren wokół budynku był "zaminowany". Dopiero z inicjatywy polskich oficerów - lekarzy, wykopano olbrzymie doły, przerzucono kładki i stworzono wieloosobowe, otwarte latryny.

Na wyspę przyjeżdżały stale nowe transporty. Po kilku tygodniach, kiedy obóz się zapełnił, podzielono wszystkich według miejsc zamieszkania /wg.województw/ na korpusy. Były więc korpusy: wileński, pomorski, śląski itd. Znalazłem się w korpusie poznańskim liczącym około 300 osób. Był to jeden z mniejszych korpusów. Inne były większe, np. korpus wileński - największy - liczył około 4000 osób. Wszyscy wprawdzie byli zakwaterowani w namiotach. Mieli bardzo trudne warunki bytowania, bo zima roku 1939/40 była bardzo mroźna. Korpus poznański ułożono w małej cerkwi łączącej skrzydło, w którym dotąd mieszkaliśmy z blokiem, w którym byli izolowani policjanci. Włoczono nas do dwóch ciemnych, wysokich, słabo wentylowanych pomieszczeń. Spaliśmy na pięciopiętrowych pryczach. Różnica temperatury między pryczą parterową, a najwyższą była bardzo wielka. Śpiący na dole odczuwał dotkliwie zimno - musiał spać w płaszczu, przykryty kocem.

Tymczasem na piątym piętrze było na tyle ciepło, że mogłem spać w samym drelichu, bez okrycia. Jednak rano byłem prawie omdlały od zaduchu jaki panował pod sufitem.

Warunki w jakich żyliśmy bardzo sprzyjały roznoszeniu się wszy. Spanie obok siebie umożliwiało przechodzenie insektów z osoby na osobę. Wyłoniony spontanicznie nieoficjalny samorząd korpusu poznańskiego zajmował się przede wszystkim sprawami związanymi z utrzymaniem higieny. Z materiałów znalezionych w obozie zbudowaliśmy piec. Pojemnik od cementu służył jako kocioł do gotowania bielizny. Przez pewien czas udało nam się ustrzec wszawicy. Jednak w czasie rewizji piec został wykryty i natychmiast musiał być rozebrany. Rewizje były częste. Zawsze odbywały się w nocy. Rzekomo szukano broni, ale likwidowano wszystko, co mogło być użyte do pisania, oraz części ekwipunku. Wbrew logice, punktem zawszawiania obozu była łaźnia i odwszawialnia. Tylko jeden raz, przez trzy miesiące korpus był w łaźni. W łaźni, w ścianie, było zamontowanych kilka kranów z zimną i ciepłą wodą. W jednym narożniku stała drewniana beczułka z szarym mydłem o konsystencji smarów samochodowych. Do dyspozycji mieliśmy drewniane kubły z jednym uchwytem, którymi czerpaliśmy wodę do mycia. Rozbieraliśmy się do naga, odzież wrzucaliśmy do parnika, niby do dezynfekcji. Po kąpieli ubieraliśmy ponownie bardzo pomięte, wilgotne ubranie. Z łaźni jednorazowo korzystało około pięćdziesięciu mężczyzn. Obsługę łaźni stanowiły wyłącznie kobiety - Rosjanki. Dotąd nie spotykaliśmy się z tym, aby w męskich łaźniach była kobieca obsługa. Rzekome odwszawianie polegało na wrzuceniu do komory nagrzewanej parą, zwiniętego w kłęby, całego dobytku żołnierzy /mundur, płaszcz, bielizna/. Odkazała się jedynie odzież będąca z|zewnątrz, przy ścianach komory. Do niej bowiem dochodziła para. Natomiast do odzieży znajdującej się w środku, gdzie

para nie miała siły się przedostać, uciekały wszystkie wszy. I tak, jedni się na jakiś czas ich pozbywali, a inni stawali się ich nowymi żywicielami.

Mimo tego, że wokół nas było wiele wody, z myciem były trudności. Dostęp do brzegu jeziora był zakazany. Dopiero w śniegu, który spadł 12 października, mogliśmy się umyć. Mydła nie mieliśmy. Pierwszy przydział otrzymaliśmy w Baranowiczach, w drodze do Brześcia, 3-5 dni przed wymianą do niewoli niemieckiej.

Wyżywienie było bardzo skąpe. Dwa razy dziennie otrzymywaliśmy porcję, około 1/2 l zupy z suszonych ryb oraz po kawałku chleba, wielkości dwóch pudełek zapalek. Zupa była bardzo słona, a chleb czarny jak smoła, ciężki od wody, którą z niego można było wyciskać. Zupę gotowano z suszonych ryb morskich, prasowanych razem z ościami w wielkie kostki o wymiarach metra sześciennego. Higiena była też wątpliwa. Wodę do kuchni czerpano z jeziora w miejscu, gdzie była przystań statków, pływały w niej plamy oliwy. A jeszcze dodam, że do jeziora wlewano fekalia z ubikacji. Dodatkową, trzecią porcję jedzenia otrzymywali ochotnicy zgłaszający się dobrowolnie do pracy przy rozbudowie obozu. Była to niewielka grupa ludzi w stosunku do dwunastu tysięcy jeńców przebywających na wyspie. W pierwszych dniach, kiedy w obozie nie było wielu jeńców, mieliśmy możliwość dostania się do tej grupy. Nosiliśmy deski do budowy dalszych pryczy. Potem kilka razy zapisaliśmy się do pracy, pracy nie podjęliśmy tylko z całą kolumną zgłosiliśmy się po dodatkową porcję jedzenia. To nam się kilkakrotnie udało. Dokuczliwe pragnienie wywołane słoną zupą można było gasić gorącym wrzątkiem tzw. kipiatakami. Wydawany był bez ograniczeń przez cały dzień. Tylko trzeba było go wystać w długiej kolejce. Kolejka do kotła z kipiatakami przez cały dzień się nie kończyła. Wrzątek rozgrzewał również nasze zziębnięte

ciała. Staraliśmy się często w ciągu dnia pić kąpiatok i dlatego zawsze jeden z naszej trójki stał w kolejce i pobierał porcję wystarczającą dla nas wszystkich. Zanim spadł śnieg i czynny był jeszcze piec w korpusie poznańskim zbieraliśmy żołądźcie i paliśmy je na "kawę". Młodzi jeńcy byli stale głodni. Dorośli koledzy, mimo że też jedzenia w dostatecznej ilości nie mieli, czasami odstępowali nam kawałek chleba, czy kilka łyżek zupy. Mnie tak dokuczał głód, że gdy raz znalazłem zagubiony ziemniak to zjadłem go na surowo. Zdarzało się, że otrzymywaliśmy przydział herbaty i tabaki tzw. kuriszki, to jest ciętych, grubych łądyg tytoniu. Artykuły te wymienialiśmy na "giełdzie" na żywność.

W obozie były wydzielone zamknięte budynki - oddzielny dla policjantów i oddzielny dla oficerów. Ci ludzie nie mogli opuszczać swoich pomieszczeń. Liczba jeńców w bloku policyjnym stale rosła. Ciągłe przybywały nowe transporty policjantów i KOPistów. Między sowieckimi obozami jeńców były przesunięcia, np. z Ostaszkowa do Kozielska posyłano oficerów, a do nas zwożono wszystkich, którzy mieli w swoim umundurowaniu coś granatowego. Wśród nich byli także ludzie, którzy nie byli zawodowymi policjantami, tylko rezerwistami Wojska Polskiego oddelegowanymi do pomocy policji. Oni mieli tylko granatowe policyjne czapki. Jako policjantów Sowietci w Ostaszkwie trzymali kilku strażaków ze straży pożarnej, ponieważ mieli granatowe mundury. Policjanci głównie pochodzili z terenów zajętych przez Armię Czerwoną. Była też duża grupa policjantów ze Śląska, którzy razem wycofywali się przed Niemcami i wpadli w ręce wojsk radzieckich. Nie wykluczone, że wśród policjantów byli także ludzie z innych regionów Polski. Kontakt z nimi mieliśmy jedynie przez okna. Mogliśmy rozmawiać krzycząc na odległość.

Chorzy i ranni, między innymi zabrani ze szpitala w Pińsku,

przebywali na izbie chorych, która mieściła się w bloku oficerskim. Opiekę nad nimi sprawowali polscy oficerowie-lekarze i zabrane do niewoli sanitariuszki. Podobno brakowało leków i opatrunków. Jedynym udogodnieniem dla leżących w izbie chorych były sienniki na pryczach. Ile było na obozie zachorowań i ile ewentualnych przypadków śmierci, nie wiem, nie orientuję się. Słyszałem jedynie, że zdarzały się wypadki śmiertelne wśród tych jeńców, którzy dostali się do pracy w kuchni. Chcieli od razu głód zaspokoić, najedli się do syta i spowodowali swoją śmierć. Myślę także, że z pewnością w tak dużym i zróżnicowanym pod względem wieku i kondycji zbiorowisku ludzi zdarzały się też zgony naturalne. Z działalnością lekarzy radzieckich na terenie obozu zetknąłem się osobiście tylko jeden raz, w dniu przyjazdu na wyspę.

"Giełda" odbywała się na dziedzińcu przy cerkwi. Było to miejsce codziennego spotkania się wszystkich jeńców, to też panował tam stale ożywiony ruch. Tam dyskutowano, dzielono się uzyskanymi wiadomościami i handlowano różnymi przedmiotami, żywnością oraz wymieniano pieniądze. Sprzedawany chleb pochodził od jeńców, którzy mając kontakt z kuchnią potrafili go wynieść oraz od tych nieuczciwych jeńców, którzy w czasie donoszenia, czy dzielenia żywności okradali kolegów. Wymieniano względnie sprzedawano części umundurowania, koce a także gazety. Byłem świadkiem transakcji zamiany butów oficerów na saperki. Policjanci zdawali sobie sprawę z tego, że nie prędko wrócą do domu i wymieniali swoje delikatne, eleganckie oficerki na ciężkie, bardziej wytrzymałe obuwie. Ponieważ policjanci - jak już mówiłem - nie mogli wychodzić ze swojego budynku, wymiana odbywała się za pomocą sznurka spuszczonego z okna na piętrze. Uczestnicy transakcji kolejno przekazywali sobie po jednym bucie. Chodziło o to, aby nie dać

się oszukać, bo nieuczciwych ludzi w obozie też nie brakowało. Część jeńców posiadała dość dużą ilość polskich pieniędzy. Pocho-
dziły one, albo z grabieży, albo z wysokich żołdów wypłacanych
przez płatników w jednostkach w ostatniej chwili przed poddaniem
się do niewoli, aby pełna kasa nie dostała się w ręce wroga. Ci
ludzie chętnie złotówki wymieniali na ruble. W zależności od in-
terpretacji wiadomości, jakie do nas docierały, albo wzrastała
nadzieja powrotu do domu, albo utrzymywało się przekonanie o dłuż-
szym pobycie w obozie. Nastroje, jakie panowały wśród jeńców
kształtowały kurs wymiany.

Struktura władzy obozowej oraz nazwiska komendy są mi niezna-
ne. Wiem tylko, że komendant był w stopniu pułkownika. Byli też
oficerowie zajmujący się przesłuchaniami i rewizjami oraz żoł-
nierze pilnujący obozu. Funkcje gospodarcze pełnili cywilni pra-
cownicy, tubylcy, przeważnie mieszkający na sąsiedniej wyspie,
która z Niławą Pustynią była połączona drewnianym mostem o dłu-
gości około stu metrów.

Dowództwo obozu dbało o propagandę polityczną. Na całej wyspie
były zainstalowane głośniki, przez które transmitowano audycje
radia moskiewskiego. Z przygotowanych na bolszewicki sposób wia-
domości codziennych można było "między słowami" domyśleć się ja-
ka sytuacja panowała na świecie. Każdego dnia przynoszono do
korpusów gazety, m.in. "Prawdę". Gazety nie tyle służyły jeńcom
do czytania, ile stanowiły cenny materiał zastępujący bibułki
do zawijania kuriszki. Kawałki gazet sprzedawano także na giełdzie.

Codziennie wieczorem w cerkwi wyświetlano filmy. Mimo, że
jeńcy mieli dużo wolnego czasu, chętnych do oglądania naiwnie
zrobionych filmów o rewolucji, nie było. Chcąc mieć w kinie fre-
kwencję zmuszano całe korpusy do oglądania projekcji.

Zajęć kulturalno-oświatowych organizowanych przez jeńców, w

czasie mego pobytu w obozie, nie było. Sporadycznie tylko grano w szachy lub w warcaby bardzo prymitywnymi środkami.

Zorganizowanego życia religijnego także nie mieliśmy. W niektórych korpusach, np. w korpusie pomorskim, głośno odmawiano pacierz rano i wieczorem. U nas każdy modlił się indywidualnie. Widywało się odmawiających różaniec. Jeńcy nie zaprzestali noszenia medalików.

Z represjami w formie bicia nie spotkałem się. Aby nas dostatecznie zgnębić wystarczały same warunki w jakich musieliśmy żyć. Do represji mogę jedynie zaliczyć nocne przesłuchania oraz rewizje osobiste i w pomieszczeniach, które zajmowaliśmy. Przesłuchania odbywały się w bloku oficerskim. W czasie całego pobytu na wyspie nie mieliśmy możliwości skontaktowania się z rodzinami. W tym czasie z obozu nie wyszedł żaden prywatny list. W czasie rewizji - jak już wspominałem - odbierano nam wszelkie materiały piśmienne. Znacznie gorzej byli traktowani policjanci i oficerowie, bowiem byli odizolowani od reszty obozu i w ogóle nie mogli opuszczać swojego bloku. Po wyjeździe pierwszego transportu jeńców rzekomo "do domu" - o czym powiem za chwilę - odizolowano w bloku policjantów również wszystkich jeńców małoletnich. Muszę też wspomnieć o faktach znikania niektórych ludzi, którzy się przedtem dawali zauważyć, np. o kimś mówiono, że jest profesorem Uniwersytetu Stefana Batorego we Wilnie. Pamiętam jego sylwetkę. Później już go nie widziałem. Być może, że pewne osoby z obozu były zabierane do więzień.

Na przełomie października i listopada rozpoczęto zestawiać listy jeńców pochodzących z terenów zajętych przez Niemcy w celu przygotowania transportu na wyjazd "do domu". Przygotowywano wyjazd około tysiąca ludzi. Sporządzanie list wyglądało następująco: Sowiecki pisarz przychodził na kwaterę i kolejno spisywał

każdego jeńca notując nazwisko i imię, imię ojca i rok urodzenia. Potem w swoim biurze przepisywał na maszynie i wracał do nas w celu sprawdzenia poprawności spisu. Przy przepisywaniu i odczytywaniu listy tak poprzekręcał dane, że połowa uprzednio zapisa-nych ludzi brzmienia swojego nazwiska nie zrozumiała. Wówczas skreślał z rejestru nazwiska osób, które się nie zgłosiły, a następnie dopisywał personalia tych ludzi, których rzekomo na liście nie było. Proceder ten powtarzał się kilka razy, aż wreszcie spis został prawidłowo sporządzony. Nadszedł oczekiwany wyjazd. Nad brzegiem jeziora ustawiono nas czwórkami w kolejności zgodnej z przygotowanymi listami. W czasie oczekiwania na polecenie wejścia na statek, komendant obozu przechodził wzdłuż kolumny i z niektórymi jeńcami rozmawiał, m.in. ze mną. Pytał się ile mam lat, jaki zawód. Kiedy odpowiedziałem: "student" - zapytał, na jakiej uczelni studiowałem. Gdy dowiedział się, że chodziłem do gimnazjum kupieckiego, skomentował: "Kakoi ty student? Uczennik!" Zauważyłem, że interesował się jeńcami małoletnimi i tymi, którzy mieli granatowe części munduru, np. czapki. Na statek wpuszczzał jeńców jakiś "feldfebel". Wywoływał nazwisko - należało podać imię ojca i datę urodzenia. Kiedy przyszła moja kolej, groźnie krzyknął: "Stawaj z boku!" Moje prośby i starania wyjaśnienia sytuacji wywoływały jedynie jego większą irytację. Byłem pierwszy, którego nie przepuszczono. Przy następnym "małoletnim" powtórzyła się ta sama scena. Na boku zatrzymano wszystkich młodocianych i tych, których podejrzewano, że są policjantami. Transport skompletowano, zawyły syreny, statek odpłynął. Nam serca się ścisnęły z żalu, że nie mogliśmy wyjechać do domu. Ogółem pozostało na brzegu około dwadzieścia osób. Z korpusu poznańskiego sześciu: nasza trójka harcerzy-ochotników oraz trzech junaków z Junackiego Hufca Pracy. /Przed wojną, maturzyści byli zobowiązani odbyć jednomiesięczną

służbę w Junackich Hufcach Pracy. Pracowali między innymi przy fortyfikowaniu granicy wschodniej./ Nikt się nami nie interesował. Wróciliśmy do pustych kwater. Był czas kolacji. Zaraz poszliśmy po przydział jedzenia. Wydano nam porcję zupy dla całego korpusu. O wyjeździe jeńców w kuchni nikt nie wiedział. Po raz pierwszy od dłuższego czasu najedliśmy się do syta. Nadwyżką podzieliliśmy się z innymi, a także część przehandlowaliśmy. Na drugi dzień wieczorem zajął się całą grupą niewpuszczonych na statek jeńców, wysoki, o mongolskim wyrazie twarzy, skośnooki oficer. Krzyczał na nas niesamowicie, nie szczędził obraźliwych epitetów i obiecywał nam: "Ot Polaczki, sabakom mieso budiet!". Zamknięto nas w bloku policyjnym. Odtąd nasz los miał być podobny do losów policjantów. Już pierwszej nocy odbyły się przesłuchania. Wtedy, na jednym pokoju z nami, mieszkał dziwny człowiek. Był dość stary - może był taborystą? Mówił dobrze po rosyjsku, chwalał ustrój radziecki. Posądzaliśmy go, że jest "wtyczką" badającą nastroje panujące w naszej grupie. Po trzech, a może czterech dniach, zobaczyliśmy przez okno, że przybył do obozu nowy wielki transport jeńców. Ku naszemu zdumieniu, wśród nich zauważyliśmy kolegów, którzy przed tygodniem opuścili wyspę. Przez okno nawiązaliśmy z nimi kontakt i postanowiliśmy uciec z bloku policyjnego. Ten plan naszej trójce się udał. Szybkim skokiem, z korytarza przez bramę, wypadliśmy w tłum handlujących na giełdzie. Zanim wartownik zorientował się, co się stało - zginęliśmy w tłumie. O fakcie naszej ucieczki prawdopodobnie nikomu nie meldował bojąc się konsekwencji. Od kolegów dowiedzieliśmy się, że transport, pod ostrym nadzorem, w szczelnie zamkniętych wagonach gdzieś jechał - nie było możliwości zobaczenia nazw stacji kolejowych - i po otwarciu wygonów znalazł się znów w Ostaszkowie. Nikt nie potrafił wytłumaczyć celu i kierunku

podróży. I tak, byliśmy znów razem w korpusie poznańskim.

W końcu listopada ponownie przygotowywano transport "domoj". Powtórzyła się ceremonia sporządzania list. Dzięki bałaganowi, jaki przy sporządzaniu spisów panował, udało nam się do listy dopisać nasze nazwiska. Tym razem, przy wchodzeniu na statek, nikt się nami specjalnie nie zainteresował. W Ostaszkwie były podstawione wagony przygotowane do transportu wojska, z piętro- wymi pryczami i piecykiem. Lokowano nas wg. spisu po 40 osób do wagonu. Znalazłem się w wagonie, w którym była ostatnia par- tia korpusu poznańskiego uzupełniona ludźmi z korpusu pomorskie- go. Głównie byli to Kaszubi. Wagony nie zostały zamknięte. Za- uważyliśmy, że konwojenci nie są uzbrojeni w karabiny. Na sta- cjach, podczas postoju pociągu, pozwalano nam wyskakiwać po kipia- tok. Nieraz z tego powodu odjazd pociągu się opóźniał. Łagodniej- sze warunki transportu pozwalały tym razem uwierzyć, że naprawdę opuszczamy Związek Radziecki. Dowiedzieliśmy się, że jedziemy do niewoli niemieckiej. W Wielkich Łukach zaprowadzono nas do koszar i w stołówce dostaliśmy lepszą zupę i dowolną ilość chle- ba. Najadłem się porządnie i jeszcze chlebem napełniłem sobie chlebak. Wielkie Łuki zrobiły na mnie wrażenie ubogiego miasta. Ulica była wybrukowana "kocimi łbami". Z jednej strony biegła błotnista latówka. Po obu stronach drogi były głębokie rowy. Mijane domy, jak i koszary były drewniane, parterowe. Przy dro- dze stare kobiety sprzedawały jabłka, na sztuki. Do sprzedania miały po kilka sztuk. Jedno jabłko kosztowało 20 kopiejek. Usiło- wałem sobie - za polskie pieniądze - takie jabłko kupić. Babuszka z nieukrywaną litością ofiarowała mi je za darmo. Z Wielkich Łuków trasa wiodła przez Smoleńsk, Minsk, Niegarełoje i Stołpce, do Baranowicz. W Baranowiczach był długi postój. Tu otrzymaliśmy po kawałku mydła, ale możliwości wymycia się nadal nie było.

Wyszliśmy na miasto. Właśnie był targ. Mogliśmy za polskie złotówki, a także za ruble, kupić masło, ser, świeży chleb. Ceny, w porównaniu ze znanymi nam cenami z września, były znacznie wyższe. Kawałek masła, 1/4 kg, kosztował 20 zł. Żołd, który otrzymałem w Pińsku umożliwił mi zrobienie niewielkich zakupów żywności. Odjazd pociągu znów się opóźnił, bo jeńcy długo nie wracali z miasta. Dopiero nasi opiekunowie tyralierą przeczesując miasto zgarnęli nas do wagonów. Mieszkańcy Baranowicz byli w stosunku do nas bardzo życzliwi. Pamiętam taką sytuację, że pozwolili nam wykupić w piekarni cały wypiek chleba, chociaż sami na ten chleb czekali w kolejce. Wiedzieli kim jesteśmy, bo byliśmy w mundurach wojskowych. Baranowicze zrobiły na mnie, podobnie jak Wielkie Łuki, wrażenie biednego wschodniego miasta. Dziwiło mnie, że ludzie, którzy uważali się za Polaków już mieli na czapkach poprzypinane gwiazdy radzieckie. Na pytanie: "Czemu to nosisz? - odpowiadali: "Bo nam każą!". Dojechaliśmy do Brześcia nad Bugiem i znów długo staliśmy na bocznicach. W pewnej chwili, ku naszemu ogromnemu zdziwieniu pociąg ruszył w kierunku wschodnim. Znaleźliśmy się w Kobryniu. Powstał wśród nas niepokój. Znowu dwa, trzy dni staliśmy na bocznych torach. Przed nami, na rozległym polu pokrytym śniegiem widzieliśmy watahy wilków. Było bardzo zimno. Z braku innego opału paliliśmy w piecu deskami z płotów przeciwsniegowych. Kiedy cały płot został rozebrany, zauważył to komendant konwoju i rozpoczął dochodzenie. W naszym wagonie już resztek płotu nie znalazł, a zdążyliśmy spalić kilka segmentów. Tutaj, w Kobryniu czterech kolegów z naszego wagonu zdecydowało się na ucieczkę. Byli to dwaj młodzi żołnierze, którzy prawdopodobnie byli podchorążymi, ale się do tego nie przyznawali, i dwaj junacy z Junackich Hufców Pracy. Jeden z junaków nazywał się Żak. Po dwóch, albo trzech dniach, wróciliśmy do Brześcia. To mogło mieć miejsce

w ostatnich dniach listopada, albo na początku grudnia. Inne daty pamiętam doskonale, a ta zginęła mi w pamięci. Na peronie ustawiono nas według spisu w kolumnę i przeprowadzono przez most kolejowy na lewy brzeg Bugu. Niemcy już na nas czekali i imiennie przejęli. Wyglądało to następująco: Odczytywano nazwisko z listy. Dany jeniec występował z kolumny i ustawiał się we wskazanym miejscu. Kiedy wszyscy znaleźli się razem, niemiecki oficer zapytał nas po polsku, czy chcemy dobrowolnie przejść do niewoli niemieckiej. Wszyscy wyraziliśmy chęć przejścia. To była cała procedura, którą widzieliśmy. Co jeszcze załatwiali przedstawiciele zainteresowanych stron, tego nie wiem. O okupacji niemieckiej nie mieliśmy wtedy żadnego wyobrażenia. Odczuliśmy tylko, że na drugiej stronie Bugu panuje zupełnie inna organizacja. Jak nas raz spisano, to według tego spisu wszystko się dalej odbywało: wydawanie posiłków, i ładowanie do wagonów, i różne inne zbiórki.

Pod konwojem niemieckim pomaszerowaliśmy przez Terespol do Małaszewic. Krótko przed wojną, w Małaszewicach zbudowano wielkie lotnisko wojskowe, które w 1939 r. było jeszcze rozbudowywane. W pierwszych dniach wojny lotnisko wraz ze znajdującymi się na nim samolotami zostało zbombardowane i mocno zniszczone. Przejściowy obóz jeniecki Niemcy urządzili w tych niewykończonych, względnie mocno uszkodzonych przez działania wojenne budynkach. Nas umieszczono w jednym z takich zrujnowanych bloków, bez podłóg, bez okien, /otwory okienne były zabite deskami/ bez ogrzewania. Spaliśmy na betonowej posadzce, na cienkiej warstwie słomy. Niemcy od początku zaprowadzili wojskową dyscyplinę, której nie było w Ostaszkowie. Wyżywienie mieliśmy nadal bardzo skromne. Do obozu w Małaszewicach przybywały następne transporty z Ostaszkowa i Starobieleńska. Po dwóch dniach wyprowadzono nas na uszkodzoną bombardowaniami stację kolejową. Na otwartej przestrzeni, w głębokim po ko-

lana śniegu, w mrozie, czekaliśmy na przyjazd pociągu. Czekanie przedłużyło się do ponad 48 godzin. W tym czasie nie otrzymywaliśmy żadnego wyżywienia, ani picia. Jeńcy rozpalili ogniska, spalając części rozbitych samolotów. Ogień dawał trochę ciepła i umożliwiał gotowanie wody z roztopionego śniegu. W Małaszewicach kilku kolegów zdecydowało się na ucieczkę. Może im się udało, bowiem widziałem jak wcześniej - przez druty kolczaste ogrodzenia - kontaktowali się z miejscowymi ludźmi. Tam, na lotnisku, w drugim dniu stania w śniegu i na mrozie - zachorowałem. Dostałem biegunki i miałem wysoką gorączkę. Bardzo osłabiony leżałem na śniegu, dopóki nie zainteresował się mną starszy kolega, ostrzeszowiak, kpr. Franciszek Organiściak. Oddał mi jeden swój koc i interweniował u władzy obozowej w sprawie udzielenia mi pomocy. Polecono mu, aby zaprowadził mnie na dworzec kolejowy. Tam była grupa rannych z Ostaszkowa. Ściany nieco chroniły od wiatru, ale mróz nadal dokuczał, bo budynek nie miał dachu, ani okien. Kiedy przyjechał pociąg załadowano nas do pustych wagonów towarowych po 80 osób. Było bardzo ciasno. Można było jedynie stać, o siedzeniu, czy położeniu na podłodze nie było mowy. Bardzo osłabiony nie mogłem ustać, osuwałem się na podłogę, inni mnie deptali i jeszcze mieli do mnie pretensje. Biegunka nie ustawała. Pociąg był długi. Jechało nas około dwa i pół tysiąca ludzi. Po dłuższej nocnej jeździe pociąg zatrzymał się na stacji. Jak się później okazało był to Rembertów. Otwarto wagony celem umożliwienia jeńcom załatwienia potrzeb fizjologicznych. W jednej chwili wszyscy wyskakiwali z wagonów i zaraz obok pociągu załatwiali się. Była to jedyna okazja na całą dobę, więc wszyscy z niej korzystali. Równocześnie z wagonów usuwano ludzi nieżyjących. Ja byłem już w stanie agonalnym i mnie również wyniesiono z wagonu i położono na śniegu. Przyjechała niemiecka wojskowa ciężarówka i zabrała zmarłych żołnierzy

wyłączonych z transportu. Ponieważ stwierdzono, że jeszcze żyję, zawieziono mnie do Szpitala Kawalerów Maltańskich w Warszawie. Jak się później dowiedziałem, cały transport pojechał do Stargardu, gdzie do 30 marca 1940 r. był obóz jeńców - stalag. Potem wszystkich szeregowców Niemcy zwolnili z niewoli i posłali do "bauerów", do robót rolnych.

Szpital Kawalerów Maltańskich był polowym szpitalem zorganizowanym przez świecki Zakon Kawalerów Maltańskich. Członkami Zakonu mogły być osoby "wysoko urodzone", pochodzenia szlacheckiego. Początki działalności Kawalerów Maltańskich sięgają czasów wojen krzyżowych. Zakon świadczył - z własnych funduszy - pomoc sanitarną ofiarom wojen i katastrof żywiołowych. Przed wybuchem II wojny światowej szpital został urządzony w pałacu Resursy Kupieckiej przy ul. Senatorskiej 40. W pięknych salach balowych z lustrami i kryształowymi żyrandolami i w innych podobnych pomieszczeniach ustawione były dziesiątkami łóżka i urządzone sale operacyjne oraz opatrunkowe. Po kapitulacji Warszawy, wszystkie szpitale wojskowe zostały przejęte przez Niemców i uznane jako szpitale jeńcze. Nadzór niemiecki polegał na ponoszeniu kosztów utrzymania szpitala, ustawieniu warty przed szpitalem i na sporadycznych kontrolach przeprowadzanych przez niemieckiego garnizonowego lekarza. Kierowanie szpitalem nadal w pełni należało do Zakonu Kawalerów Maltańskich. Leżałem w bogato wyposażonej sali bibliotecznej. Otoczono mnie bardzo troskliwą opieką, ostrzyżono, wykąpano, dano czystą bieliznę. Mój cały dobytek spalono. W ten sposób pozbyłem się wszy. Lekarze i personel pielęgniarski robili wszystko co mogli, aby mnie utrzymać przy życiu. Początkowo nie mogłem nic jeść. Przy życiu utrzymywały mnie tylko kroplówki. Później dostałem kleik i suchary, których nie mogłem przełknąć. Siostry odkładały mi je na stoliku. Dużo się ich nazbierało. Po-

tem, kiedy apetyt wrócił, wszystkie zjadłem. W szpitalu spotkałem - ku mojej radości - dwóch ostrzeszowiaków, mojego byłego drużynowego phm ppor. Stefana Polarczyka i kolegę pchor. plut. Tadeusza Pacanowskiego. Obaj walczyli w 60 p.p. i byli ciężko ranni. Na sali razem ze mną leżał jeszcze jeden ostrzeszowiak o nazwisku Więcek /nie był ze mną spokrewniony/, także bardzo ciężko ranny, który wkrótce zmarł.

Kawalerowie Maltańscy konspiracyjnie znosili z pól bitewnych narzędzia chirurgiczne. Trzeba je było oczyścić, skompletować i opisać. Ponieważ moi krajanie zrobili mi reklamę, że jestem dobrym rysownikiem, kiedy doszedłem na tyle do sił, że byłem pacjentem chodzącym wciągnięto mnie też do tej roboty, właśnie do sporządzania opisów. Codziennie, przedpołudniem w pomieszczeniach poza szpitalem wykonywałem tę pracę. 13 kwietnia 1940 r. składałem przysięgę w piątce ZWZ działającej na Pradze. Dowódcą mojego plutonu był kolega Tadeusz Tomala leżący o trzy łóżka dalej. Jego brat Henryk był dowódcą piątki.

Pierwszą wiadomość o sobie do rodziców przesłałem przez jednego jeńca, który pochodził z okolic Ostrzeszowa i był na tyle wyliczony, że mógł na Gwiazdkę wrócić do domu. /Nazwiska nie pamiętam./

30 marca 1940 r. Szpital Kawalerów Maltańskich przestał być szpitalem wojennym, został przejęty przez Polski Czerwony Krzyż. Chorzy w szpitalu nadal przebywali, tylko przed szpitalem nie było już warty, która właściwie miała zadanie nie tyle nas pilnować, ile nie wpuszczać na teren szpitala jednostek niemieckich. Dowódca szpitala miał prawo jeńcom wypisać przepustki na miasto. Do 30 marca, po Warszawie, na przepustce, chodziliśmy w mundurach żołnierskich. Potem wyszedł zakaz noszenia mundurów, więc szpital nam mundury przefarbował na czarno, zmieniliśmy guziki

i nasze ubranie straciło charakter wojskowy.

W szpitalu, a prawdopodobnie i w Warszawie, byłem pierwszą osobą, która wróciła z niewoli sowieckiej. Wzbudziłem ogólne zainteresowanie. Wypytywano mnie o wszelkie szczegóły związane w Związku Radzieckim. Wtedy do mojej świadomości dotarło, jak mało byliśmy w Ostaszkowie przewidujący. Mieliśmy tak bliski kontakt z policjantami, którzy się nie spodziewali rychłego zwolnienia, my przewidywaliśmy transport "do domu", i nie przyszło ani nam, ani policjantom na myśl, aby podać adresy, na które można by przekazać wiadomości rodzinom. Przecież, ile ja mogłem wtedy zapamiętać nazwisk i adresów! To zaniedbanie uświadomiłem sobie za późno. Posądzam, że się mną interesował polski wywiad. Kiedy lekarz zabronił mi udzielania informacji, to siostra przełożona, korzystając z swoich przywilejów, przychodziła codziennie do mojego łóżka i przez kilka dni opowiadałem jej o moich i kolegów przeżyciach w niewoli sowieckiej. Potem, jak jeszcze leżałem, spisałem moje wrażenia. Pewnego dnia przyprowadzono do mnie pisarkę warszawską, panią Annę Kowalską, mieszkała przy ul. Oręźnej, niedaleko Senatorskiej/ i jej dałem moje notatki. Długo mi nie oddawała. Kiedy w końcu do niej poszedłem upomnieć się o nie, kazała mi natychmiast opuścić swoje mieszkanie, bo jest pod nadzorem gestapo. Dowiedziałem się także, że musiała wiele materiałów zlikwidować, między innymi moje notatki, które na gorąco w szpitalu spisałem.

U Kawalerów Maltańskich i przez trzy ostatnie miesiące w Domu Ozdrowieńców w Milanówku leczono mnie do końca września 1940 r. Wtedy zostałem zwolniony, jako inwalida z 69% niezdolnością do pracy na jeden rok. Do domu nie mogłem wracać, bo dowiedziałem się, że w Ostrzeszowie Niemcy na mnie czekają. Wiedzą, że organizowałem w 1939 r. ochotników i mnie poszukują. Dotarła do mnie też wiadomość, że 3 maja 1940 r. Niemcy wywieźli do obozu koncen-

tracyjnego w Dachau grupę ostrzeszowskiej młodzieży inteligent-
ckiej. Przy pomocy kierownictwa szpitala zakwaterowałem się w
Warszawie, a w końcu października zostałem przyjęty do Zawodo-
wej Szkoły Handlowej przy ul. Wilczej 41. Mieszkałem w Domu PCK
dla Inwalidów na Saskiej Kępie, przy ul. Zwycięzców 18. Było to
mieszkanie w willi - taki mały trzypokojowy internat dla 12 osób.
Mieliśmy wspólną kuchnię. Mieszkanie miałem bezpłatne, a poza
tym z ZUSu otrzymywaliśmy bezpłatną zupę. Codziennie ktoś z nas
jechał z dwoma wiadrami po marmoladzie na ul. Poznańską i przy-
woził zupę dla wszystkich. Grono pedagogiczne w Szkole wzięło pod
uwagę mój udział w wojnie i zwolniło mnie z chesnego, które wyno-
siło 75 zł miesięcznie. To było dużo. Mój cały miesięczny fundusz
wynosił 20 marek, co po zamianie dawało 50 zł. Pieniądze te otrzy-
mywałem od pana Brockiego, który uprzedzony o aresztowaniu uciekł
z Ostrzeszowa do Skarżyska Kamiennej. Moja matka dawała jego żo-
nie, która została w Ostrzeszowie, co miesiąc, 20 marek, a on od-
dawał jakby tę pożyczkę mnie. W ten sposób miałem w ogóle jakieś
pieniądze. Długo to jednak nie trwało. Krótco przed agresją Nie-
miec na Związek Radziecki moje życie znów się odmieniło, ponieważ
zostałem złapany w łapance i wysłany do Rzeszy na roboty przymu-
sowe. A było to tak: Na Boże Narodzenie 1939 r. bogatsi mieszkań-
cy powiatu garwolińskiego zaprosili "chodzących" inwalidów wojen-
nych na dwutygodniowe wakacje do swoich domów. Z takiego zapro-
szenia też skorzystałem. Gwiazdkę spędziłem w rodzinie kierowni-
ka szkoły w Puznówce. Na Wielkanoc zostałem przez nich - już pry-
watnie - znów zaproszony. W drodze powrotnej, na stacji w Pila-
wie zastała mnie obława. Miejscowi ludzie wiedzieli gdzie są ja-
kieś przejścia i wielu udało się uciec. Mnie niezorientowanego
w obcym terenie i jeszcze kilku innych ludzi odwieziono do obozu
w Warszawie, przy ul. Skaryszewskiej. Stamtąd wywieziono mnie

do Niemiec. Najpierw cały transport z Polski zajechał do Stralsundu, gdzie podzielono nas na grupy. Dość dużą grupę posłano do Grüm^umen. Tam wydzielono 6 czy 7 osób, które pod moją opieką pojechały pociągiem osobowo-towarowym relacji Grüm^umen-Triebses. Na poszczególnych stacjach powysadzałem odpowiednich ludzi, sam zajechałem do Deyelsdorf, gdzie odszukałem gospodarza, Wilhelma Kastena, do którego miałem skierowanie. Trafiłem do gospodarza, którego określaliśmy jako "ludzkiego". On nie był takim zajadłym Niemcem, nie poniżał specjalnie swojego polskiego parobka, wymagał tylko od niego określonej roboty. U jego brata parobkiem był Niemiec i wydaje mi się, że od niego jeszcze więcej wymagał gospodarz niż ode mnie. Ale ponieważ nigdy przedtem fizycznie nie pracowałem, nie byłem do takiej roboty przygotowany, byłem osłabiony po chorobie, nieodporny, to ta praca była ponad moje siły. Byłem nie tylko nieludzko zmęczony, ale miałem ręce całe w ranach. Skóra na dłoniach popękała mi od dojenia krów, od trzymania narzędzi. Rany zabrudzone ropiały - ręce strasznie bolały. Z biegiem czasu jakoś sobie z tym poradziłem. U "bauera" poprawiło mi się znacznie wyżywienie. Nie dlatego, że Niemcy tak dobrze karmili polskich robotników, a dlatego, że była możliwość dożywiania się na własną rękę. Tam żywność chodziła po podwórzu, tylko trzeba było po nią w odpowiedni, przemyślany sposób sięgnąć. To nie było łatwe, bo gospodarze pilnowali swego, ale jak jajko było ciepłe, bo kura co dopiero z niego zeszła, i wiadomo było, że gospodyni nie zdążyła jeszcze go zobaczyć, można było szybko jajko wypić. Podobnie było z mlekiem. Gospodarze karmili nas zgodnie z instrukcjami, jakie otrzymywali na zebraniach partyjnych. Było to takie minimum potrzebne do życia: dwie kromki chleba grubości połowy centymetra i trochę jakiegoś syropu na śniadanie i kolacje, na obiad zupa z kawałkiem ugotowanej słoniny. Spałem w komórce

wydzielonej z obory.

W Deyelsdorfie pracowało około 40 Polaków. Szybko się zorganizowaliśmy. Prowadziliśmy w swoim środowisku pracę uświadamiającą i informującą o bieżącej sytuacji. Mieliśmy zorganizowany nasłuch radiowy, pisaliśmy ręcznie informacje i komunikaty, zbieraliśmy ulotki, tłumaczyliśmy pisemka przeznaczone dla Niemców. Punktem kontaktowym z Polakami pracującymi w innych wsiach była mleczarnia w Triebes. Tam przekazywaliśmy dalej "w świat" nasze "gazetki". Współpracowaliśmy z jeńcami belgijskimi, którzy byli zatrudnieni przy wyrębie lasu, a we wsi mieli swoją kwaterę. Ważnym naszym zadaniem było zdobywanie żywności dla siebie i Belgów. Początkowo Belgowie byli od nas izolowani, ale z biegiem czasu rygory były coraz słabsze. Wachmanem u jeńców był jeden z gospodarzy. Przez cały dzień gospodarował na roli i w obejściu, a rano i wieczorem ubierał mundur, brał karabin i szedł wypuszczać, albo zamykać jeńców. Belgowie "kupowali" sobie Niemców prezentami. Oni dostawali paczki UNRRA, między innymi z kawą. Niemcy kawy nie mieli, a bardzo byli na nią łasi. Przynosił więc taki Belg paczkę kawy dla gospodyni - jego obecność w gospodarstwie była umotywowana - a wnosił jaja, mleko, które mu polski parobek przygotował. Kiedyś udało mi się znaleźć wysoko w stodole gniazdo jaj i przekazać jeńcom od razu 200 sztuk. "Organizowałem" też dla nich odchudzane mleko. Gospodarz karmił takim mlekiem świnie. Szczęście mi dopisywało, bo gdybym został przyłapany na kradzieży żywności to czekał by mnie obóz koncentracyjny. Zdawałem sobie z tego sprawę. Organizowaliśmy także "mały sabotaż". Polegał on na wolnej pracy i na powodowaniu awarii maszyn. U tego "bauera" byłem cztery lata.

1 maja 1945 r. do wsi weszły wojska radzieckie. Już wcześniej kazaliśmy naszym Niemkom poszyć biało-czerwone flagi. W chwili

zajęcia Deyelsdorfu w każdym gospodarstwie, gdzie był zatrudniony Polak, wisiała flaga. We wsi było biało-czerwono!

Zaraz 1 maja rozpoczęliśmy przygotowania do wyjazdu do domu. Dużą grupą liczącą około 30 osób, 3 maja rano, ruszyliśmy w drogę. Początkowo jechaliśmy na rowerach zabranych od gospodarzy, a nasze bagaże złożone na wozie ciągnęły dwa konie - również niemieckie. Jednak po drodze, przy każdym kontakcie z Rosjanami, coś traciliśmy. Najpierw nam zabrali rowery, potem kolejno konie. Już po 30 kilometrach szliśmy piechotą. Zniszczyłem wszystkie moje dokumenty wojskowe i jenieckie. Zrobiłem to po próbie aresztowania mnie przez patrol rosyjski za rzekomą dezercję. Wtedy udało mi się Ruskich przekonać, że w wojsku nie byłem - pokazałem mój Arbeitsbuch - koledzy zaświadczyli, że od 1941 r. byłem "na robotach", ale wiedziałem, że gdyby znaleźli u mnie te dokumenty, to byłoby ze mną źle. Miałem głębokie przeświadczenie, że świadkowie z Ostaszkowa, po sprawie katyńskiej, nie będą mile widziani. No, i zostawiłem swoje dokumenty gdzieś w polu pod kamieniem.

Po dwutygodniowej wędrówce, po pięcioletniej nieobecności w domu, 17 maja znalazłem się w rodzinnym mieście. Wróciłem do Ostrzeszowa. Pracowałem w Ostrowie. Studia skończyłem na Wyższej Szkole Ekonomicznej we Wrocławiu. Po studiach przeniósłem się do Poznania. Z harcerstwem byłem nadal związany, w latach 1945-1949 i potem po odnowie od 1957 r. Jako czynny instruktor działałem w harcerstwie ostrzeszowskim, a także uczestniczyłem w życiu harcerzy poznańskich. Często zapraszano mnie na obozy letnie i na zimowiska. Młodzież była tak przygotowana, że mogłem z nią rozmawiać o Ostaszkowie. Najmniej ^{wiadomości} o prześladowaniach Polaków ze strony Związku Radzieckiego mieli młodzi ludzie w latach siedemdziesiątych. Wtedy dziewczęta i chłopcy w wieku

licealnym często byli zaskoczeni tym, co przeżyłem i o czym im opowiadałem. Mimo tego, że rozpowszechniałem swoje wojenne "Przygody" - dzięki Bogu - udało mi się jakoś uniknąć represji ze strony UB. W chwili zakończenia wojny znaleźmy sprawę Katynia z relacji niemieckiej prasy, radia i gazet, które do nas "na roboty" docierały z Generalnej Guberni. Mimo, że Niemcom ogólnie nie ufaliśmy, że znane nam były metody działania gestapo, w tym przypadku zbrodnią obciążaliśmy NKWD.

Obecnie, z naszej trójki harcerzy-ochotników, tej trójki małoletnich, którym udało się uciec z obozu policjantów w Ostaszkowie, żyję ja i Wacław Sobczak, ur. w 1923 r., mieszka w Ostrzeszowie. Nie wiem, co się dzieje z trzecim kolegą Brunonem Głogowskim. Straciłem z nim kontakt, nie znam jego adresu, nie wiem czy jeszcze żyje. Z naszej dwunastki wycofującej się razem z nad Warty i zabranej w Pińsku do niewoli sowieckiej, pozostały^{ch} dziewięciu żołnierzy już zmarło. Ostatnio, przed dwoma laty, pochowaliśmy na cmentarzu w Ostrzeszowie ostatniego z nich, kpr. Szczepana Adamskiego.

W czasopiśmie harcerskim pt. "O.N.C. /Ojczyzna, Nauka, Cnota/ Głos Instruktorów Kręguⁱⁿ Andrzeja Małkowskiego Chorągiew Gdańska" w numerze : jesień 1989, zostały umieszczone moje wspomnienia, pt. "Wojenne drogi ostrzeszowskich harcerzy - Poszli, bo tak chcieli" - o udziale drużyny w wojnie 1939 roku i "Byłem w Ostaszkowie" - o obozie jeńców polskich. Teraz jestem znów w trakcie opracowywania cyklu artykułów o Ostaszkowie. W O.N.C. nr jesień 1991, ukazał się pierwszy z nich opisujący wyspę Niława Pustynia i klasztor, w którym mieścił się obóz jeńców polskich. Mam zamiar jeszcze coś więcej o Ostaszkowie napisać. Mój zięć, Janusz Rautzko jest

bardzo zainteresowany Ostaszkowem, bowiem tam przebywał jego dziadek, który zginął w Miednoje. W dwutygodniku miejskim pt. "Temat" wydawanym w Szczecinku jest drukowana w odcinkach jego opowieść o dziadku Wilhelmie Rautszko, którą napisał w oparciu o moje relacje.

Jeżeli dziś wracam myślą do moich przeżyć w Ostaszkowie, to nie mogę oprzeć się przeświadczeniu, że moje wyjście z obozu graniczyło z cudem. Uświadamiam sobie, jak nie wiele brakowało, żebym podzielił los przodownika Policji Państwowej Wilhelma Rautszko.

Całe działanie sowieckie w stosunku do narodu polskiego, oceniam jako bardzo podstępne, pełne kłamstwa. Uważam, że ich metody wyniszczania ludzi były w swym prymitywiźmie bardzo perfidne.

tułacza armia

Tam na Uchcie, na Soświe
Rośnie sosna przy sośnie.
Drzewa piękne, masztowe wyrosły.
Myśmy ostrym toporem
Rozprawiali się z borem
Nie dla Polski. Dla Rosji... dla Rosji...

Dobrywaliśmy węgiel
Pod łolarnym aż kręgiem,
Lub spławialiśmy las na Peczorze.
I rzucała nas dola
Na bezdroża, na pola,
W tundrę. tajgę, za góry, za morza...

Bieda była, oj bieda
Trzeba było się nie dać,
Trzeba było być twardym, upartym.
Poprzez łagry i tiumy
Jak na froncie do szturmu
Iść z żołnierskim honorem i hartem...

Dziś w angielskiej kantynie,
Przy dziewczynie i winie
Wspominamy, jak gdzieś na Ładodze,
Od tyfusów, malarii
Tysiącamiśmy marli
I tysiące nas padły po drodze...

Dobrze jest, że nas nie ma
Tam gdzie zima, Kołyma,
Gdzie Workuty, Irkucki, Tobolski.
Że przez Morze Kaspijskie
I przez piaski libijskie
Wędrujemy prościutko do Polski...

Na granicy Arabii
Dostaniemy karabin,
Ładownice wypełnią naboje.
Będą czołgi i działa
I zwycięstwo i chwała,
Gdy z tułaczki ruszymy na boje...

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

kto ty jesteś?

- Polak mały...

Wychowanie patriotyczne w przedszkolu

- Kto ty jesteś ? - Polak mały.
- Jaki znak Twój ? - Orzeł Biały.
- Gdzie ty mieszkasz ? - Między swemi.
- W jakim kraju ? - W polskiej ziemi.
- Czym ta ziemia ? - Mą Ojczyzną.
- Czym zdobyta ? - Krwią i blizną.
- Czy ją kochasz ? - Kocham szczerze.
- A w co wierzysz ? - W Polskę wierzę.
- Coś ty dla niej ? - Wdzięczne dziecię.
- Coś jej winien ? - Oddać życie.

Wzruszający utwór, prawda ? Zwłaszcza gdy mówią go dzieci. Te najmłodsze. Przedszkolne. Napisany przez Władysława Bełzę w 1899 roku pt. "Katechizm polskiego dziecka" nie stracił nic ze swej treści, jest nadal aktualny - tylko dlaczego uczy się go bez ostatnich dwóch wersów ? Dlaczego zmieniono tytuł, podstawiając zań słowa rozpoczynające wiersz ? Trudno to pojąć, przecież nie można sarsnąć całości, która tworzy jak gdyby podwaliny wychowania patriotycznego dzieci w przedszkolu.

Jednak "patriotyzm" - to pojęcie o szerokim zakresie. Mieści ono w sobie zagadnienia więzi emocjonalnej dzieci z rodziną i poznawanie rodzinnego kraju, poznawanie rodzajów sztuki i wychowanie przez pracę, szacunek dla symboli narodowych i kształtowanie uczuć przyjaźni z innymi narodami.

Więzi emocjonalne dzieci z rodziną i przedszkolem kształtuje się już w domu, w którym panuje zgoda, a rodzice potrafią nauczyć prawideł życia. Czy ktoś się z tym nie zgadza ? To proszę posłuchać co pisze o domu "Jarzębinka" i "Jelonek" (dawne czasopismo i książeczka dla dzieci).

"Dom rodzinny. Czy istnieje coś piękniejszego niż dom rodzinny ? To nie tylko miejsce, gdzieśmy wyrosli, ukryte w zakamarkach z przeszłości, nie tylko znajome kąty". I słowa "Jelonka": "Bo żaden chyba dom, nawet najwspanialszy, nie da tego dziecku ani starszemu człowiekowi co daje dom, w którym się urodził i wychował, w którym się śmiał i płakał, doznawał cierpienia i radości".

Przedszkole to drugi dom dziecka, gdyż przebywa ono w nim 7 - 8 godzin dziennie, więc obowiązkiem naszym jest wpaść w dzieci i wykształtować w nich miłość i szacunek dla rodziny, rówieśników itp.

Hasła programowe wychowania patriotycznego dotyczą również poznawania kraju rodzinnego, jego przyrody, zabytków historii, sztuki regionalnej. Te treści realizowane są w formie wycieczek i spacerów. I poprzez nie dzieci poznają współczesne osiągnięcia, które mogą obserwować w danej miejscowości, poznają przeszłość historyczną

niejscowości, jej pamiątki narodowe, a także ojczyznę i przyrodę z charakterystycznymi dla regionu widokami. Wrażenia z wycieczek przedkładaamy kompletując kartki o swojej okolicy, zdjęcia oraz prace plastyczne dzieci i robimy z nich albumy. Dzięki temu stwarzamy nastrój do nauki wierszy o tematyce patriotycznej jak ten poniżej, przedstawiony utwór Czesława Janczarskiego, "Co to jest Polska" ?

"Co to jest Polska ? Spytał Jaś w przedszkolu.
Polska to wieś, las i zboże w polu.
I szosa, którą pędzi do miasta autobus,
i samolot co leci wysoko nad tobą.
Polska to miasto, strumień i rzeka,
i komin fabryczny co dymią z daleka.
A także obłoki, co pod niebem mkną,
Polska to jest także Twój rodzinny dom.
A przedszkole ?
Tak i przedszkole i róże w ogrodzie,
i książki na stole".

Wykorzystując "wycieczkowe zadania" wóływamy na sferę intelektualną dziecka oraz na inne sfery jego osobowości.

Następnym punktem wychowania patriotycznego w przedszkolu jest wychowanie przez sztukę, które zawiera w sobie treści literatury pięknej, baśnie i legendy, wątki kultury ludowej i różnorodne uroczystości przedszkolne.

Literatura piękna kształtuje piękną polską nową, poprzez odpowiednią treść przekazuje formy pożądanego zachowań społecznych i rozwija uczucia patriotyczne dzieci.

Jednak wszystko co barwne i fantastyczne znajduje się w baśniach i legendach. Są one niezastąpionym źródłem kształtowania miłości ojczyzny. W ich treściach są ukryte nieprzemijające idee patriotyzmu, poglądy ludu pracującego na życie, jego ideały i dążenia.

Wiele legend zawdzięczamy rozwiniętej kulturze ludowej, z której zapoznajemy dzieci także w przedszkolu. Jest ona jednym z najskuteczniejszych środków wychowania patriotycznego. Daje możliwość poznania przez dzieci ludowej sztuki, zwyczajów, tańców, piosenek itp. Wiele elementów z kultury ludowej odzwierciedla się w uroczystościach przedszkolnych z różnych okazji. Uroczystość, zwłaszcza w wieku przedszkolnym jest radosnym przeżyciem, tak jak radosny jest okres przygotowań do niej.

Przygotowania i porządki do uroczystości to początek ważnej dziedziny wychowania patriotycznego - wychowania przez pracę. Poprzez systematyczne powtarzanie wyrabiamy u dzieci samodzielność, umiejętność współdziałania na rzecz innych, wdrazamy do przestrzegania zasad życia zbiorowego i szacunku do pracy, wdrazamy do dobrej roboty i poszanowania wytworów pracy. Poprzez podział zadań przy pracach grupowych zachęcamy dzieci do prób planowania pracy indywidualnej i grupowej, do szukania nowych rozwiązań. W trakcie zajęć wyrabiamy umiejętność organizowania sobie miejsca pracy, dobierania materiałów i narzędzi, wdrazamy do sprzątania po zakończonej pracy i wyrabiamy nawyk oszczędzania materiału.

Istnieje jeszcze coś takiego jak wpajanie dzieciom szacunku dla symboli narodowych, które nie jest jednak odrębnym działaniem w całokształcie wychowania patriotycznego. Powiązane jest z wszystkimi dziedzinami tego tematu. Poprzez wyliczenia ukazujemy dzieciom pomniki walki i mę-



ORZEŁ Z CHORAŹWI KRÓLA WŁADYSŁAWA JAGIELŁY
(SPÓD GRUNWALDU)

czekstwa narodu polskiego oraz związane z nimi zachowanie. Sztuka, historia i kultura ludowa ułatwia nam wdrażanie szacunku do godła, barw i herbów, a także do Hymnu Polskiego, przy którym uczymy jego powagi, stawia na baczność przy jego dźwiękach, rozumienie, że jest to Pieśń wszystkich Polaków, że nazywa się hymnem.

Godło, flagi, sztendary i hymn to narodowe świętości, z którymi zapoznajemy dzieci poprzez bezpośrednie obserwacje i wyjaśnienia. Wykorzystujemy różne okazje by rozmawiać na ten temat na podstawie ilustracji, filmów, w toku przygotowań do uroczystości i podczas ich trwania.

Uroczystości wykorzystywane są także w przedszkolu do kształtowania uczuć z innymi narodami. Realizujemy to poprzez naukę piosenek i zabaw dziecięcych innych krajów - proste formy taneczne charakterystyczne dla danego kraju czy ukazanie strojów i życia innych ludzi na świecie. Wykorzystujemy do tego literaturę piękną, dziecięcą, piosenki, przezrocza, albumy itp.

Wielki wkład w wychowanie patriotyczne dzieci mają rodzice, którzy muszą być świadomi celu wychowania domowego, gdyż przedszkolak zawsze naśladowuje dorosłych, najchętniej właśnie rodziców.

Realizując wymienione zagadnienia podkreślamy odpowiedzialność naszą za przyszłość narodu, Ojczyzny, za tworzenie odpowiedniego klimatu społecznego sprzyjającego wychowaniu patriotycznemu w przedszkolu.

Joanna Grochowska



Ź POLOWA ZBIÓRKA HARCERSTWA STARSZEGO

GODYNIA - POLANKA REDŁOWSKA

24 VII. 1936.

W GDAŃSKU

(fragmenty wspomnień)

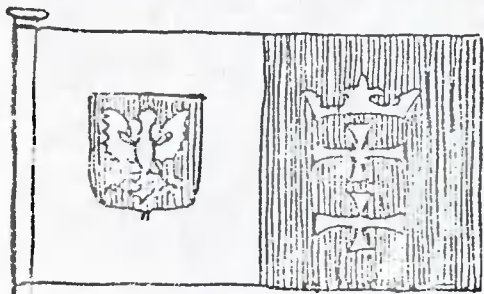
... O Alfie Liczmańskim napisano wiele, jak się godzi pisać o szlachetnym człowieku, o Gdańszczanie, gorącym patriotcie polskim, wielkim harcerzu, bohaterze i męczenniku Stutthofu. Godzi się też napisać kilka zdań o Oskarze Żawrockim. Był to człowiek o niespożytej energii, bystrości i inteligencji, obdarzony uzdolnieniami organizacyjnymi, wyróżniający się prawością charakteru i łatwością nawiązywania kontaktu z ludźmi. W sprawie, którą tu opisuję odegrał on rolę inicjatywną i główną. Pamiętać przeto należy, iż za wszystkim tym, co robiłem w harcerstwie i jego wojskowym szkoleniu w Gdańsku i gdzie indziej, zawsze był i dziękuję Druh Oskar, bądź jako dowódca, bądź - po prostu - jako przyjaciel.

Powodów uzasadniających szkolenie wojskowe wśród gdańskiej młodzieży było kilka. Powód nadrzędny to geograficzna, gospodarcza i polityczna konieczność połączenia Gdańska z Państwem Polskim na stałe. Dokończenie tego mogły tylko polskie siły zbrojne w sprzyjających okolicznościach politycznych. Poryw zbrojny samych Polaków zamieszkałych na terenie W.M.Gdańska nie mógł tego osiągnąć, ale był konieczny politycznie, a także uzasadniony taktycznie.

Jak wiadomo z dokumentów, władze polskie prowadziły od dawna szkolenie wojskowe na terenie Gdańska, ale prowadzono je na małą skalę, bardzo dyskretnie i w określonych kręgach: kolejarzy, celników, niektórych służb pocztowych i portowych. Szkolenie to po części "firmował" Strzelec. Nie jest mi jednak wiadome, aby w okresie przed 1935 r. szkolenie tego typu było prowadzone w Gdańskiej Chorągwi ZHP. Wśród harcerzy gdańskich niewielu posiadało wyszkolenie wojskowe, gdyż Polacy - obywatele gdańscy - nie podlegali takiemu szkoleniu. Według prawnego statusu Wolnego Miasta wszelkie formacje typu wojskowego były zakazane, za wyjątkiem policji. Mimo to, w czasie mego przyjazdu do Gdańska, młodzież niemiecka, jak też dorośli Niemcy - rodowici Gdańszczanie lub Niemcy napływowi, odbywali regularne ćwiczenia wojskowe w organizacjach hitlerowskich: HJ, SA i SS. Niemieccy studenci Politechniki ćwiczyli systematycznie w soboty, były to więc dla nas studentów polskich - "wolne soboty".

Polacy - Gdańszczanie zawsze marzyli o połączeniu ich terytorium z Macierzą, a w szczególności zaś młodzież, rozbudzona polskimi tradycjami rycerskimi, narastającym napięciem politycznym, obserwująca wojskowe przygotowania Niemców, pragnęła posiadać umiejętności wojskowe, chociażby dla samoobrony.

Wśród studentów Polaków studiujących na Politechnice Gdańskiej, a będących jednocześnie czynnymi harcerzami, bardzo mało było takich, którzy by ukończyli służbę wojskową. W opisanych warunkach, mój udział w szkoleniu harcerskiej młodzieży gdańskiej jako harcerza i podchorążego narzucał się w sposób oczywisty.



BANDERA RADY PORTU I DRÓŻ WODNYCH
W WOLNYM MIĘŚCIE GDAŃSKU

Na przełomie 1935/36 r. Komendant Chorągwi hufca Alf Liczmański i jego zastępca hufca Oskar Żawrocki polecieli mi zorganizować hufiec starszoharcerski z młodzieżą polską - obywateli gdańskich (przeważnie) zamieszkałej we Wrzeszczu, Oliwie i Sopotcie. Mam pewne dane aby przypuścić, że podobne polecenie otrzymał w tym czasie pfm dr Tadeusz Kuczyński - nauczyciel Polskiego Gimnazjum w Gdańsku oraz ppor. rezerwy pfm Ta-



ODZNAKA ZWIĄZKU POLAKÓW
W WOLNYM MIEŚCIE GDAŃSKU

deusz Szymański, brat naszego kolegi - studenta Politechniki Stanisława.

Członkowie mego hufca pochodzili z różnych środowisk i mieli różne zawody: uczniowie polskich szkół średnich, kolejarze, robotnicy, ekspedienci itp. w liczbie około 80. Moim przybocznym był Tadeusz Zehr z Sopotu, chłopak dzielny, energiczny, bystry i odpowiedzialny. Nie znam niestety jego losów po 1.9.1939 r. Szereg informacji w nieco powierzchownym nawiązaniu do tej sprawy, podaje R. Woźniak w książce pt. "Harcerstwo Polska w Wolnym Mieście Gdańsku 1920 - 1939".

Ćwiczenia mego hufca starszoharcerskiego obejmowały przede wszystkim różne typy zadań polowych i terenowych, nie wykraczających początkowo poza zakres wymagań określonych warunkami zdobywania stopni i sprawności harcerskich, a zatem organizacji obozów harcerskich i życia obozowego. Zbiórki zastępów hufca odbywały

się w pomieszczeniach drużyn harcerskich w wymienionych wyżej miejscowościach, jednakże większe zgrupowania kokowano początkowo na boisku sportowym "Gedanii" we Wrzeszczu obok Domu Akademickiego Studentów Polaków Politechniki Gdańskiej, a później, w formie dalszych wypraw w ostrzelania z broni małokalibrowej lub wojskowej na strzelnicę. Ćwiczenia na terenach polskich zawierały z reguły elementy polowego działania drużyny lub plutonu wojskowego, a więc marsz do celu, organizowanie natarcia lub obrony w różnych typach terenu. Lato i okres wakacyjny stwarzały dogodne warunki zorganizowania obozu na terenie Polski, prowadzonego wg zasad wojskowych, a więc z bronią boczną i ręczną, zaznajomianie z zasadami obchodzenia się z nią, strzelaniem, urozmaiconym szkoleniem drużyny i plutonu piechoty.

W 1936 r. w początkach sierpnia wyjechała z Gdańska w Góry Świętokrzyskie do Dąbrowy k. Bodzentyna, duża gromada harcerzy zorganizowana w dwa odrębne podobozy pod komendą hm Alfa Liczmańskiego (starzy Bodzentyniacy pamiętają ten obóz do dziś). Jego zastępcą i oboźnym całłości był piszący te słowa. Pierwszy podobóz zgromadził wyłącznie starszych harcerzy, członków hufców starszoharcerskich, których znaczną część stanowili moi podkomendni z hufca z Tadeuszem Zehrem. Komendantem podobozy był hm Roman Truszczyński z Komendy Chorągwi w Gdańsku, zaś komendantem podobozy "średniaków i młodzików" był harcerz i student Politechniki Gdańskiej Józef Rajski. Funkcję oboźnego w tym obozie pełnił pchr.rez. Ewald Kupczyk, współpracujący też ze mną w prowadzeniu wyszkolenia wojskowego. Mistrzem wszelkich sztuk obozowych był harcerz i Student Politechniki Walerian Janiszewski, zaś wychowaniem fizycznym całłości kierował phm Alfons Żurek. Ze składnicy wojskowej w Toruniu otrzymałem zestaw urządzeń łączności telefonicznej, tj. łącznicę polową typu 1P-10 oraz zestaw 12 polowych aparatów telefonicznych, łącznie z odpowiednią ilością kabli telefonicznych i sprzętu pomocniczego. Ze starszych harcerzy sformowałem drużynę łączności i zbudowałem sieć telefoniczną do wszystkich ważnych punktów obozu. Z pomocą pchr. E. Kupczyka prowadziliśmy ćwiczenia wojskowe łączności, musztry i działania w polu.

Obóz k. Bodzentyna był dla mnie wielce znamienny także z osobistych względów: roznałem w Bodzentynie młodą nauczycielkę Olenkę, która w grudniu 1939 r. została moją żoną i dzielnie towarzyszy mi w radościach i smutkach po dzień dzisiejszy.

Po okresie obozowym, w ciągu roku akademickiego 1936/37 odbywały się znowu ćwiczenia i zbiórki w zastępach lub większych zgrupowaniach starszoharcerskich w celu odbycia ćwiczeń na poligonie i strzelnicy k. Gdyni lub k. Tczewa.

Okres wakacyjny 1937 r. zastał mnie z moim hufcem w obozie szkoleniowym w Karpatach, w miejscowości której nazwy nie pamiętam, położonej w bardzo pięknej okolicy w rejonie przełęczy Użok. Komendantem obozu był kapitan piechoty, nie znany mi przedtem osobiście, ubrany w mundur Związku Strzeleckiego, którego nazwiska nie pamiętam. Instruktorami byli podoficerowie zawodowi noszący odpowiednie mundury i dystynkcje strzeleckie, jednakże na naramiennikach ich kutrek mundurowych było poznać ślady po wojskowych dystynkcjach podoficerskich. Kamuflarz ten nikomu z uczestników niczego nie ukrył, ale widocznie potrzebny z jakichś względów dyplomatyczno - politycznych. W obozie były 3 plutony, przy czym jeden utworzony z członków mego hufca starszoharcerskiego pozostał pod moją komendą. Mój pluton pochodził w całości z Gdańska, co do pozostałych - nie pamiętam. Program szkolenia obejmował typowe wykształcenie piechoty, tj. musztrę z bronią, działanie drużyn i plutonów w polu w terenie górskim mocno pokrytym (las, krzewy, kosówka). W moim plutonie znalazł się męszczyzna - oczywiście obywatel Gdański - wieku znacznie ponad 40 lat, a więc dla nas wtedy bardzo już "stary". Mnie, prowadzącego musztrę z bronią od razu rzuciła się w oczy jego znajomość rzeczy, precyzja wykonywania chwytów karabinem oraz prawdziwie żołnierska postawa. Zapytany przeze mnie wyjaśnił, że w końcowej fazie I Wojny Światowej służył w armii niemieckiej. Tak to więc z niemieckim karabinem typu Mauser, który był powszechnie używany w przedwojennym Wojsku Polskim, przywędrowała do Polski i musztra niemiecka. Dotyczyło to jednak niemal wyłącznie chwytów karabinem. Inne rodzaje musztry pochodziły bądź z armii francuskiej, austriackiej lub rosyjskiej, bądź też były wreszcie oryginalne nasze, polskie.

Obok elementów wojskowych obóz zachowywał jednak swój podstawowy charakter harcerski, z grami, zabawami i ogniskami, jak to w harcerskim zwyczaju.

Po powrocie do Gdańska praca w hufcu biegła normalnym torem. Przypominam sobie, że z okazji polskich uroczystości i rocznic narodowych i państwowych, hufce starszoharcerskie odbywały otwarte zbiórki, koncentracje i defilady (np. w Nowym Porcie), oczywiście już bez broni, ale przy dobrej dyscyplinie i sprawności wojskowej, w pełnej gali munduru harcerskiego.

K O N S P I R A C J A

W roku 1937 wydarzyły się dwa ważne dla mnie fakty: po ćwiczeniach wojskowych w macierzystej Kompanii Telegraficznej 12 DP w Tarnopolu, zostałem awansowany do stopnia sierżanta podchorążego rezerwy. Drugi wiąże się ściśle i znamienne z szkoleniem wojskowym w Gdańsku, a mianowicie, w sakonspirowany sposób zaproszony do Gdyni na spotkanie z hm Oskarem Zawrockim, w konspiracyjnym lokalu przy ul. Świętojańskiej zostałem zaprzysiężony i powołany na członka tajnej organizacji wojskowej - harcerskiej w Gdańsku. Moja funkcja komendanta hufca starszoharcerskiego nabrała wtedy innego znaczenia. Tem też otrzymałem pistolet automatyczny belgijski FN 7,65, który towarzyszył mi do końca mego pobytu w Gdańsku.

Wracając wówczas z Gdyni do W.M. Gdańska przemycałem 5 takich pistolety dla kolejnych wtajemniczonych. Wkrótce, po zapaleniu wymaganej przysięgi, że "... będę wierny Polsce do ostatniej kropli krwi...", otrzymałem mego zastępcę Tadeusza Zehra z Sopotu oraz studenta Politechniki, harcerza i działacza ZHP w Gdańskiej Komendzie Chorągwi, obywatela Polskiego - Józefa Rajskiego. Czwartym był student i harcerz, mój przyjaciel i współmieszkaniec pokoju w Domu Akademickim, Pomorzaniek i obywatel Polski Paweł Zimmermann. Obaj ci koleśzy - studenci w wojsku nie służyli, ale uczestniczyli w pracach hufców

Starszoharcerskich. Ufałem im i byli mi potrzebni. W toku kolejnych wyjazdów do Gdyni, otrzymywałem rozkazy od Druha Oskara oraz robiarłem w konspiracyjnym lokalu dalsze pistolety typu FN. Przy pomocy osób wtajemniczonych, najczęściej któregoś z kolejarzy, przewoziłem je do Gdańska. Zgodnie z informacją R. Woźniaka podaję, że istniała wtajemniczona i była aktywna "czwórka sopocka" w składzie: Stefan Lange, Frunon Fuchna, Paweł Staniszewski i Józef Rastenis. Byli oni moimi podkomendnymi w plutonie. Prawdą też jest, że w ramach ćwiczeń, zgodnie z rozkazem Druha Oskara, poleciłem zbudować rozkład budynku głównego lotniska we Wrzeszczu i obserwować jakiś czas ruch lotniczy na jego płycie. Było to lotnisko cywilno-sportowe, przeto zadanie mimo pewnej emocji, miało charakter raczej ćwiczebny. Wynik obserwacji i zwiadu przekazałem Druhowi Oskarowi. Ćwiczeniem swoistej śmiałości było zadanie poszukiwania określonego obiektu. np. zabytku architektury w mieście Gdańsku, udając przyjeźdnego Polaka posługującego się wyłącznie językiem polskim. Odszukałem natknąłem się tylko na jednego przechodnia, który odpowiedział mi po polsku. Był to jak się okazało gdański kupiec - Żyd, prawdopodobnie obywatel polski. Wszyscy inni zagadnięci przeze mnie okazali się Niemcami, którzy odprawili mnie przeważnie szorstko.

(ciąg dalszy wspomnień dh prof. Jana Trojaka zamieścimy w następnym numerze ONC).

Henryk Więcek

Wojenne drogi ostrzeszowskich harcerzy...

1. POSZLI, BO TAK CHCIELI

Byłem wtedy 17-letnim uczniem gimnazjum kupieckiego. Mieszkałem w Ostrzeszowie, sześciotysięcznym miasteczku, w Południowej Wielkopolsce, leżącym 12 - 15 km od ówczesnej granicy z Niemcami. Dotąd ludność żyła tu spokojnie, średnio dostatnio. Żywa była wśród niej pamięć walk powstańczych, bardzo sobie ceniła wywalczoną w 1919 roku wolność.

Rok 1939 był rokiem wyjątkowego niepokoju. Zanosilo się na wojnę. Cały kraj przygotowywał się na taką ewentualność. Także na Ziemi Ostrzeszowskiej, wiosną i latem kopano rowy strzeleckie, stawiano zasieki z drutu kolczastego i przeszkody przeciwczołgowe, przygotowywano schrony przeciwlotnicze.

W maju powołano jednostkę wojskową pod nazwą "Batalion Obrony Narodowej Ostrzeszów". Był to nietypowy oddział. Żołnierze nie byli skoszarowani. Mieszkali w swoich domach i trudnili się swoimi normalnymi zawodowymi zajęciami. Mundury nosili tylko na służbie. Okresowo zbierali się na sobotnio-niedzielne ćwiczenia zwożąc się na nie, znanym w harcerstwie "systemem alarmowym". Batalion dzielił się na trzy kompanie nazwane od miejscowości stacjonowania: Ostrzeszowską, Boruchowską i Mikstacką. Każda kompania miała trzy etaty zawodowe: dowódcy, szefa kompanii i nocnego wartownika magazynu broni. Inne funkcje pełnili społecznie oficerowie rezerwy. Dowódcą plutonu karabinów maszynowych Kompanii Ostrzeszowskiej był ppor. rezerwy Antoni Kaj, opiekun 14 Ostrzeszowskiej Drużyny Skautów im. ks. Ignacego Skorupki, której byłem drużynowym. Była to drużyna harcerska pozaszkolna, skupiająca chłopców terminujących u różnych rzemieślników i kupców.

Pewnego dnia ppor. Kaj poprosił nas o pomoc w przygotowaniu karabinów maszynowych do najbliższych ćwiczeń. Mieliśmy zrobić to za żołnierzy, aby oni nie tracili czasu przeznaczanego na ćwiczenia wojskowe, na wycieranie z wazeliny i składanie broni. Chłopcom ta robota bardzo się podobała. Wywiązali się z niej wzorowo. Dowódca Batalionu kpt. Józef Waydowicz i dowódca kompanii por. Bock widząc nasze zaangażowanie, zwrócili się do nas o dalszą pomoc. I tak zaczęliśmy pełnić służbę wartowniczą, kancelaryjną i łącznościową - byliśmy gońcami. Wzamian za to, kpt. Waydowicz obiecał drużynę przeszkolić w łączności telefonicznej i w ramach letniej koncentracji Batalionu zorganizować dla harcerzy obóz pod namiotami.

Tymczasem wypadki w strefie nadgranicznej spowodowały, że 20 sierpnia Batalion wyruszył na stanowiska obronne, przygotowane wzdłuż linii Rogaszyce - Olszyna - Rojów. Razem z Batalionem wyruszyła drużyna harcerska. Całą noc po alarmowej zbiórce z 20 na 21 sierpnia, razem z żołnierzami, zakładaliśmy linie telefoniczne. Potem włączono nas do obsługi centrali telefonicznej i aparatów polowych. Pełniliśmy również służbę zwiadowczą. Informacje przez nas zebrane pozwoliły zapobiec wielu incydentom dywersyjnym, a nawet ująć ich sprawców. W przerwach między dyżurami przechodziliśmy, specjalnie dla nas zorganizowaną przeszkolenie w obchodzeniu się karabinem.

Dramatyczne chwile przeżywaliśmy szczególnie w nocy, w centrali telefonicznej. Meldunki z granicy donosiły o różnych rodzajach jej naruszania. Napięcie rosło.

W nocy z 31 sierpnia na 1 września, prowokacji granicznych nie było. Miałem dyżur do północy. Po mnie objął centralę Bolek Kamola, który około godz. 5,00 rano przyjął wiadomość o wybuchu wojny. To był piątek 1 września 1939 r. Natychmiast otrzymaliśmy rozkazy przekazania różnych poleceń osobom prywatnym i instytucjom. Poim zadaniem było zmobilizowanie prywatnych samochodów ciężarowych. Tędną podziwian patriotyzm właścicieli pojazdów, którzy na ustne polecenie młodszego harcerza, w ciągu 1 godziny oddali swoje auta do dyspozycji Batalionu.

Kiedy zameldowaliśmy o wykonaniu zadań, dowódca podziękował nam za współpracę i polecił harcerzom wrócić do rodzin. Byliście rozczarowani. Teraz, gdy trzeba bronić Polski, my mamy siedzieć w domu? Pługo przekonywałem kapitana Waydowicza o naszej woli ochotniczego udziału w obronie Ojczyzny. W końcu, po uporczywych naleganiach, wyraził zgodę, przydzielił nas do plutonu łączności, polecił uzbroić i opatrzyć w karabiny, amunicję i opatrunki osobiste.

Za dwie godziny zgłosili się z własnymi rowerami harcerze z drużyny gimnazjalnej - 4 Ostrzeszowskiej Drużyny Harcerzy im. Kazimierza Pułaskiego. Zasilili oni rowerowy pluton zwiadowców, którego dowódcą był ich profesor, były opiekun drużyny ppor. rezerwy Morągko.

Również harcerska młodzież mikstacka chciała z bronią w ręku bronić ojcowizny i zgłosiła się do plutonu ciężkich karabinów maszynowych Kompanii Mikstackiej, którą prowadził komendant Ostrzeszowskiego Ośrodka Harcerzy (podhufca), ppor. rez. harcmistrz Leon Stasiński.

Chłopcom nie ustępowały dziewczęta. Młode sanitariuszki, między innymi także harcerki, przygotowane przez PCK, zasiłki drużynę sanitarną dowodzoną przez lekarza por. rez. Ledzińskiego.

I tak około czterdziestoosobowa grupa ostrzeszowskich harcerzy razem z żołnierzami Ostrzeszowskiego Batalionu Obrony Narodowej ruszyła na wojnę.

1 września przez pół dnia broniliśmy wraz z oddziałami 10 Łódzkiej Dywizji linii Olszyna - Rojów - Chojnik. W drugim dniu frezowa stanowiska linii starcia z Niemcami. Harcerze przede wszystkim pełnili funkcje gońców. Budowanie linii telefonicznej nie nadawało się w tym czasie, przemieszczającym się wojskiem. Potem była linia Warty. Bohaterzki opór wielu jednostek wojskowych tam skoncentrowanych, 4 i 5 września okazał się. Marsz ewakuacyjny pod stałymi nalotami lotniczymi w kierunku Modlina,

harcerze przeszli szczęśliwie bez strat, aż do Łowicza. Pod Łowiczem były pierwsze ofiary - dwóch rannych harcerzy: Franek MOŚ i Edzi: SOREK. Ten drugi w krótko zmarł z niewyleczonych ran.

Znalazłem się w grupie 12 żołnierzy, w tym trzech harcerzy ostrzeszowskich. Maszerowaliśmy na rozkaz adiutanta dowódcy Batalionu por.rez. Cezarego WIZY (zginął w Katyniu) do miejsca koncentracji, które stale się oddalało. Dopiero w Pińsku włączono nas do na nowo zorganizowanej Kompanii ON Ostrowskiego, Ostrzeszowskiego, Kępińskiego i Łódzkiego. W Pińsku wzięliśmy udział w poskromieniu ukraińsko-żydowskiej rebelii wywołanej w dniu przekroczenia granicy przez Czerwoną Armię. Do 20 września zapewnialiśmy bezpieczeństwo mieszkańcom miasta.

Losy harcerzy - ochotników walk wrześniowych potoczyły się różnie. Dwóch było rannych, jeden z nich zmarł, 15 dostało się do niewoli niemieckiej, 3 do niewoli sowieckiej, jeden przedostał się na Węgry i tam początkowo kontynuował naukę w gimnazjum, należał do drużyny harcerskiej, później walczył w RAF-ie. Pozostali, po wielu przygodach szczęśliwie połączyli się z rodzinami.



2. BYŁEM W OSTASZKOWIE

Kompania Obrony Narodowej zreorganizowana w Pińsku, w której i ja się znalazłem, do 20 września zabezpieczała spokój w mieście.

Tego dnia, w godzinach popołudniowych, mieliśmy przejść na prawy brzeg Piny, by ująć przed napierającą Armią Czerwoną i szybkim marszem dołączyć do jednostek Samodzielnej Grupy Operacyjnej "Polesie" dowodzonej przez gen. Franciszka Kleberga, która 17 września rozpoczęła pochód na zachód, śpiesząc z pomocą Warszawie. Czołgi radzieckie zaskoczyły Kompanię w czasie przeprawy i nie wszyscy zdążyliśmy przejść na drugi brzeg rzeki. Most wysadzono w chwili próby wjazdu na niego pierwszego czołgu. Odcięto równocześnie odwrót części Kompanii, głównie taborom. Wszyscy harcerze zostali w mieście.

Musieliśmy się indywidualnie ratować. Schroniliśmy się w klasztorze OO Jezuitów, tym samym, w którym żył i nauczał św. Andrzej Bobola. Nie trafiliśmy najlepiej. Kościół i klasztor były ostrzelane wściekłym huraganowym ogniem wkraczających wojsk sowieckich. Huki strzałów mieszały się z dzikimi okrzykami: urra... urra! Wkrótce kościół się zapalił. Płonąc iluminował plac, przez który przewały się wiwatujące, nieprzyjacielskie wojska. Szczęśliwie, grube średniowieczne mury ochroniły nas przed kulami i ogniem.

Rano wygarnęli nas z klasztoru żołnierze Roboczo Krestijanskij Frasnój Armii i doprowadzili na ulicę Marszałka Józefa Piłsudskiego. Tam, już koczowali inni jeńcy. Wśród nich znaleźliśmy kolegów z naszej Kompanii wziętych do niewoli ubiegłego wieczoru i w nocy. Od nich dowiedziałem się, że mój plecak z całym dobytkiem: mundurem harcerskim, krzyżem harcerskim i książeczka służbowa, zimowym mundurem wojskowym zafasowanym w magazynów w Pińsku, płaszczem i kocem, znajdował się w chwili wyładunku mostu właśnie na nim i wraz z wozami, końmi i innym sprzętem - utonął w Pynie. Straciłem wszystko, pozostałem jedynie w leżącym drelichowym mundurze wojskowym.

Przez całe przedpołudnie siedzieliśmy na chodniku. Miejscowi lu-

dzie przynosili nam jedzenie i picie. Były to głównie pomidory, bowiem sami niewiele więcej mieli. W godzinach popołudniowych żołnierze ustawili armatę wycelowaną w naszą stronę. Spodziewaliśmy się najgorszego. Jednak po pierwszym strzale okazało się, że celem zabawy były wieże poprzedniego dnia spalonego kościoła. Z ostrzeliwanej wieży sypały się kawałki gruzu wielu z nas kalecząc. Bojcy którzy nas pilnowali, sami dobrze schowani w bramach przyległych domów, bluźnili, wykrzykując: "Nasz Stalin silniejszy, niż wasz Bóg!". Kiedy jedna wieża runęła, ogień skierowano na drugą i wtedy stało się coś, co nazwać można "Palcem Bożym". Jednego z bojców ciężko ranił odłamek gruzu. Przerwano burzenie wieży, zajęto się ratowaniem kolegi. Nas popędzono na dworzec. Rozpoczęła się wielodniowa podróż, jak nas informowano "do domu". Nawet kiedy przekraczaliśmy miejscowości graniczne Stołbce - Niegarełoje nie zmieniano wersji informacji.

Osiem dni trwała makabryczna podróż, bez jakiegokolwiek zorganizowanego posiłku. Jedli jedynie ci, którzy mieli swoje zapasy.

Dnia 28 września wyładowano nas na niedużej stacji Ostaszków nad wielkim jeziorem Seliger, dającym początek Wołdze. Statkiem i barkami przetransportowano nas na wyspę. Tutaj w zabudowaniach cerkwi i klasztoru prawosławnego (rozgrabionego i zdewastowanego w czasie rewolucji), jak również i w namiotach więziono 12 tysięcy żołnierzy, oficerów i policjantów polskich. Podzieliliśmy ich los. Życie w obozie było bardzo trudne: słabe wyżywienie, straszne warunki sanitarne, przepełnione pomieszczenia, plagi wszy, stałe rewizje, nocne przesłuchania, niekonczące się ewidencjonowanie. Już w październiku silne mrozy dokuczały wszystkim, szczególnie mieszkającym w namiotach i niedostatecznie ubranym.

Korpus poznański (podzielono nas na korpusy wg. województw zamieszkania), liczący około 300 osób, umieszczono w dwóch dużych pomieszczeniach. Spaliśmy na drewnianych pięciopiętrowych pryczach, bez ścianników. W obostrzonych warunkach, odizolowani byli oficerowie, policja i "dobrowolcy".

Wielką tragedię przeżyli wszyscy młodociani (była nas tam spora grupa), w chwili ustalania składu pierwszego transportu wyjeżdżającego z wyspy, rzekomo do domu. Na statek nas nie wpuszczono. Zamiast "do domu", skierowano do obozu policjantów, jako "dobrowolców" wymagających szczególnego nadzoru. Jaki był prawdziwy cel transportu - pozostało tajemnicą. Po tygodniu podróży, w szczelnie zamkniętych wagonach, tak że nie można było rozpoznać trasy, nasi starsi towarzysze wrócili znów do obozu.

Nam udało się wydostać z izolowanego podobozu policjantów i ukryć w swoim korpusie. W końcu listopada ponownie przygotowywano wyjazd "do domu". Tym razem nikt nie zwrócił uwagi na nasz młody wiek i udało nam się wpisać na listę jeńców pochodzących z terenów zajętych przez Niemcy. Byliśmy pierwszym transportem, który opuścił Ostaszków. Wyjeżdżaliśmy, gdy do obozu napływały nowe transporty z policjantami i KOP-istami. Na trasie zorientowaliśmy się, że Rosjanie przekazują nas do niewoli niemieckiej. Przejęcie przez nowych "opiekunów" odbyło się w Brześciu. Potem przez kilka dni zatrzymaliśmy się w Małaszewicach. Przez ostatnie 48 godzin czekaliśmy na pociąg stojąc na otwartej przestrzeni lotniska, w śniegu po kolana i na mrozie.

Wtedy zachorowałem. Już dłużej mój organizm nie mógł się bronić. Wygłodzony, zziębnięty (miałem tylko drelichowy mundur) ciężko zaniemogłem. Jeszcze do pociągu wsiadłem, ale nieludzkie warunki transportu, które powodowały śmierć bardziej wyczerpanych jeńców i mnie nie oszczędziły. Na postoju w Rembertowie koło Warszawy usunięto z wagonów ciała zmarłych. Mnie zaliczono do nieżywych. W bardzo ciężkim stanie znalazłem się w Szpitalu Maltańskim w Warszawie. Tam leczono mnie do końca września 1940 r. Ze szpitala zostałem zwolniony z przejściowym 60-procentowym inwalidztwem. Jak się później dowiedziałem, koledzy moi zostali zawiezieni do Stalagu w Stargardzie.

Mój Wrzesień...

Ida Rusiniak



W styczniu 1979 r. w piśmie "DROGA" wydawanym nielegalnie przez Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela, ukazały się moje wspomnienia "Oczami dziecka" związane z datą 17 września 1939 r. Dziś po wielu latach milczenia możemy legalnie mówić i pisać o tamtych tragicznych dniach. Wspomnienia podpisałam "Nadzieja Nieświeska". Nadzieja, to wiara, że odzyskamy wolność, a Nieświeska - od miejsca mojego urodzenia.

W 1939 r. mieszkałam z rodzicami w Baranowiczach na Kresach Wschodnich. Ojciec mój był zawodowym oficerem 26 Pułku Ułanów, który wchodził w skład Nowogródzkiej Brygady Kawalerii gen. Władysława Andersa. Nasze mieszkanie znajdowało się na terenie koszar wojskowych. W marcu 1939, w czasie tzw. I mobilizacji, ojciec mój wyjechał z pułkiem nad granicę Prus Wschodnich, a mama i ja zostałyśmy same.

W pierwszych dniach września Baranowicze były kilkakrotnie bombardowane przez samoloty niemieckie. Koszary, jako obiekt wojskowy, najbardziej były narażone na niebezpieczeństwo - bałyśmy się bardzo dalszych nalotów. Przestraszone bombardowaniem wyjechałyśmy do rodziny mamy, mieszkającej pod Baranowiczami. Miałyśmy zamiar przeczekać najgorsze i za kilka dni wrócić do domu. Ze sobą zabrałyśmy tylko parę najniezbędniejszych rzeczy.

17 września pierwsze oddziały Armii Czerwonej przekroczyły naszą granicę. Początkowo spokojnie czekałyśmy na przemarsz wojsk, ale przecucia nas nie myliły. Wraz z ich wejściem rozpoczęła się natychmiastowa grabież i dewastacja. Rozbijano i grabiono sklepy, budynki, w których były polskie urzędy, domy i mieszkania Polaków. W oczach mam do dziś powszechne zniszczenia: niszczone dla samej przyjemności niszczenia, bo wszystko wokoło było nasze, polskie. Ioniszczono wszystkie przedmioty mówiące o Polsce oraz książki. Szkoły polskie pozamykano.

Wszędzie pojawiły się napisy rosyjskie. Z urzędów i instytucji powyrzucano Polaków, a na ich miejsce wprowadzono komisarzy i miejscowych komunistów. W kościele garnizonowym, znajdującym się na terenie koszar, zrobiono składy i magazyny oraz kwatery dla wojska. Wszystkich księży aresztowano od razu i wywieziono w głąb Rosji.

Pamiętam tragiczną scenę z moim dziadkiem: byliśmy wtedy przed domem i nie zdążyliśmy się schronić, gdy nadjechał konny oddział żołnierzy radzieckich i jeden z nich bez słowa wycelował pistolet w stronę dziadka i chciał go zabić. Widząc to zaczęłam przerażona krzyczeć i płakać. Uratował dziadka sąsiad, miejscowy Komunist (z czerwoną opaską na rękawie). Krasnoarmiejeć powiedział do niego, że nie podobał mu się wygląd dziadka - "za bardzo polski".

Nie mogą sobie przypomnieć nazwy leśniczówki, w której mieszkał mój wuj z rodziną - znajdowała się ona w pobliżu Nowogródka. Cała rodzina wujostwa została zamordowana przez NKWDzistów za to, że u-

działali pomocy polskim żołnierzom... wywieźli wszystkich przed dom i zastrzelili 4 osoby i dwoje małych, kilkuletnich dzieci. Wiadomość o tym wstrząsnęła nami bardzo. Do domu wrócić nie mogliśmy, bo kosza-ry zostały zajęte przez żołnierzy radzieckich, a nasze mieszkanie roz-grabione.

Moja mama była żoną polskiego żołnierza, dlatego cała nasza rodzi-na do której wyjechaliśmy, została skazana na zesłanie na Syberię. Często słyszałyśmy o transportach z polskimi rodzinami i wiedziałyś-my już, w jak okropnych warunkach, masowo szły w głąb Rosji. Głód, pragnienie, mróz, zatłoczone, towarowe okratowane wagony - doprowa-dzały do śmierci dzieci i dorosłych. Opowiadania na ten temat coraz częściej krążyły wśród polskich rodzin. Nie chcąc narażać mnie, sie-bie i naszej rodziny u której mieszkaliśmy, na podobny los - mama po-stanowiła wyjechać do znajomych. Około miesiąca ukrywałyśmy się u róż-nych znajomych. Stale obawiałyśmy się, że w każdej chwili może się wy-kryć, że jesteśmy rodziną wojskową i zostaniemy wywiezione na Syberię. Mama, świadoma tego, szykowała ciepłe ubrania, uszyła mi walonki. Czę-sto rozmawiałyśmy o niebezpieczeństwie które nas czeka, a że jesteśmy słabe, zastanawiałyśmy się jak to wszystko przeżyjemy. Pamiętam, że zawsze chętnie we wszystkim mamie pomagałam. Pewnego razu wykorzysta-łam chwilę, że mama wyszła z mieszkania - w kacie pokoju stał 5 kg worek soli - wzięłam ten worek na plecy i nosiłam dookoła stołu. Chcia-łam wypróbować swe siły i przyzwyczaić się do noszenia ciężarów, bo wiedziałam, że na Syberii trzeba będzie ciężko pracować. Worek nie wy-trzymał mojej próby sił i pękł, a sól wysypała się na podłogę. Sól by-ła wtedy skarbem - nigdzie nie można było jej dostać. Wracając mama, a widząc co zrobiłam, zaczęła krzyczeć na mnie, ale gdy usłyszała, że ja "próbowałam siły" przygotowując się do wyjazdu na Syberię, smutno się uśmiechnęła i powiedziała, bym dokładnie zebrała z podłogi wysy-paną sól.

Widząc, że sytuacja staje się coraz bardziej niebezpieczna i nara-żany znajomych, mama po drugiej rozterce: co począć dalej - czy uciec na stronę niemiecką, czy pozostać z nieuchronną perspektywą wyjazdu na Syberię - postanowiła przejść ze mną przez "zieloną granicę" na stronę niemiecką.

Pułk ojca, cofając się pod naporem wojsk niemieckich, po ciężkich walkach uległ rozbiciu, część przedarła się na Węgry, a większość do-stała się do niewoli sowieckiej z rannym dowódcą brygady gen. Andersen. Mój ojciec w czasie wycofywania się na czele taborów został od pułku odcięty, doprowadził tabory do Warszawy, potem, do Kampinosu i tam w październiku dostał się do niewoli niemieckiej - dlatego ocalał. Przez pierwsze miesiące wojny i niewoli nie miałyśmy pojęcia co się z nim dzieje i wogóle czy żyje. W uzyskaniu wiadomości o losach ojca pomogła znajoma, która jeszcze pracowała na poczcie w Baranowiczach. Wiedzia-ła ona, że mama i ja ukrywamy się w okolicy. Codzienną pocztę kontro-lował funkcjonariusz NKWD i z miejsca niszczył wszystkie przesyłki pol-skie. Pewnego razu wykorzystała jego nieuwagę i schowała kartkę od mo-jego ojca, którą udało jej się przekazać mamie. W ten sposób dowiedzia-łyśmy się, że ojciec żyje i przebywa w Oflagu VIIa.

Wyjazd nasz przyspieszyła wiadomość od białoruskiego komisarza (te-go samego, który uratował dziadkowi życie), że jesteśmy na liście do wywózki na Syberię.

Wyprawyśmy z mamą w niezwykle trudną - skomplikowaną i niebez-pieczną podróż w stronę granicy niemieckiej. Nasze przedzieranie się trwało cztery długie miesiące, w czasie których jeszcze zachorowałam, już w pobliżu granicy - na zapalenie płuc. Mieliśmy jednak wyjątkowe szczęście - kilkakrotnie trafiłyśmy na pomoc rosyjskich kolegów i wojskowych, którzy dowiedzieli się, że jesteśmy uciekinierkami, ale uda-wali, że nic nie wiedzą. Po wielu trudnych i niebezpiecznych prze-czekaniach 13 kwietnia 1940 r. miejscowi polowownicy przewieźli nas kółką

przez Bug, który był granicą. Ostatnie z tego exodusu przykre przeżycie miało miejsce na samej granicy - przy Bugu. Wsiadając już do łódki, ujrzałyśmy biegnących ku nam Żydów - było ich chyba pięciu. Oni również uciekali na stronę niemiecką - twierdzili, że tu gdzie są Rosjanie grozi im wielkie niebezpieczeństwo, a w każdej chwili śmierć. Każda chwila jest dla nich ważna, kobiety mogą poczekać.

Zaczęła się szamotanina, ale nasi opłaceni przewoźnicy nie pozwolili wyrzucić nas z łódki. A więc i Żydzi uciekali spod radzieckiej władzy...

Wspomnienia tego okresu są bardzo bolesne, niezabliźnione. Ciągłe słyszałam o śmierci, aresztowaniach, rabunkach, zsyłkach. Przeżywałam to jako dziecko i nie mogłam zrozumieć, że człowiek dla człowieka może być tak okrutny, zwłaszcza, że z ZSRR nie prowadziliśmy wojny - to oni na nas napadli.

W domu, w szkole i w drużynie zuchowej wychowywano mnie na chrześcijańskich zasadach miłości bliźniego. Byłam w drużynie "Gołąbków" - może dlatego tak to przeżywałam?

Gdy kończyła się wojna, armia radziecka zajmowała tereny Generalnej Gubernii. Czołgi z czerwonymi gwiazdami wjeżdżały na ulice Radomia w którym mieszkaliśmy. Znajomi nasi cieszyli się i z radością witali żołnierzy radzieckich - a my ze strachem i przerażeniem patrzyliśmy na "wyzwolicieli". To był dla nas wstrząs - ten widok. Przecież uciekliśmy od nich. Jak tropiona zwierzyna, z bezustannym narażaniem życia uciekliśmy ratując sobie życie. A oni nas dopadli. Są nadal u nas. Co nas i Polskę teraz czeka? Pytanie, jakie nam cisnęło się na usta zrozumiałe było wtedy jedynie dla nas, których pamięć nie zdołała zatrzeć - mimo 5 lat okrutnej okupacji niemieckiej i tamtych tragedii po 17 września 1939 r."

"Nadzieja Nieświeska"

z cyklu: **O nas samych...**

Dziś drugie nasze spotkanie, tym razem z Kryską Konaszewską "Klopsem" zwaną, która w wieku 7 lat wywieziona została z matką do dalekiego Kazachstanu. Tam przeżyła część swego dzieciństwa. Po powrocie w 1946 do Polski, uczy się w I LO w Gdańsku, pierwsze harcerskie kroki stawia w Drużynie Harcerek "Knieje" i jest tą, która ostatnia miała w ręku przedwojenny sztandar Chorągwi Harcerek w Gdańsku. Na polecenie przełożonych, odniosła sztandar w 1949 r. do Komendy Chorągwi na ul. Dekerta we Wrzeszczu i tam osobiście wręczyła Go Komendantowi Chorągwi hm Teodorowi Delongowi. Od tamtej pory słuch o sztandarze zaginął...

W czasie studiów 56-57 r. prowadziła drużynę harcerek w Lublinie, potem działała w Kręgu "Zodiak" przy Politechnice Gdańskiej do czasu rozwiązania, ale w zastępie "Eimbajek" trwa do dziś - zastęp co roku odbywa swe spotkania.

Po reaktywowaniu ZHP w 1956 i po studiach działa w Hufcu Harcerek Gdańsk Śródmieście na funkcji zastępcy Komendantki Hufca.

W cywilu jest Kierownikiem Pracowni Bakteriologicznej w Okręgowej Stacji Sanitarnej Epidemiologicznej PKP w Gdańsku.

Aktualnie działa w naszym Kręgu KIHAN w Gdańsku i systematycznie śpiewa z naszymi seniorami na nocnej, radiowej Mszy św. słyszanej na morzach i oceanach świata oraz bezkresnych obszarach sybirskiej ziemi, z której 42 lata temu wracała do Polski...

Redakcja "ONC" wyprosiła u Kryski rzucenie na papier swoich wspomnień, które w całości zamieszczamy na naszych łamach oraz reproduujemy unikalne strony z jej zeszytów szkolnych z Kazachstanu.

Na sybirskiej ziemi...

Wiosną w 1940, pamiętam, że było to po Świątach Wielkanocnych, przyszli, jak to zwykli czynić, nocą, do domu moich Dziadków w Brześciu, w którym po aresztowaniu i wywiezieniu do Kozielecka mego Ojca, mama wraz ze mną znalazła schronienie. Dali ileś tam czasu na spakowanie rzeczy, zamadzali na cię Sarówkę, potem do pociągu. W wagonie towarowym, z półkami po obu stronach i małymi okienkami wysoko, było bardzo dużo ludzi. Wrota zaryglowali i powieźli. Na wschód. Wtedy nie rozumiałam wiele i niewiele z tej podróży pamiętam.

Potem była jakaś wieś kołchozowa, my, to znaczy kilka polskich rodzin na samochodach, jacyś miejscowi ludzie zabrali nas do chałup, nakarmili, spaliliśmy na słomie na podłodze. Jakaś wznaskliwa przewodnicząca kołchozu naganiła polskie panie do pracy w kołchozie, one tego robić nie umiały, uciekały, chowały się. Potem była inna wieś, dużo większa, nazywała się Żurawlowka (Akmolińska obłast, Kalmiński rajon). Tam były urzędy - wszystkie zaczynały się na "raj..." - "rajkon", "rajzo" itd, szkoła 10-latkowa, NKWD, areszt, na placu drewniana cerkiew zamieniona na dom kultury, a potem z pracy ręk Polaków zbudowany został z cegły piętrowy "dom Sowietów". Wieś zamieszkiwali, poza Rosjanami, Kazachi (Kazachi mieli też osobne wsie - auki), Polacy i Ukraińcy przesiedleni w 1936-37 r. Polacy - czyli my - głównie kobiety z dziećmi i trochę młodzieży. Polacy żydzi przywiezieni razem z nami, potem przywieźli Niemców z całej Wołgi i z Kaukazu, i również z Kaukazu Czeczeńców i Tatarsów. Mieszanina narodowości i obyczajów.

Tam spędziłam 6 lat i różne były koleje tego przebywania, często bardzo tragiczne. Mama pracowała w "rajzo" - nie pamiętam co ten skrót oznacza - ja chodziłam do "dzieckiego sadu" (przedszkole). Wszystkie miejscowe dzieci miały ogolone głowy, żeby nie było wszyc. Potem już nie chodziłam do "dziet-sadu", tylko do innej polskiej rodziny, w której były dwie dziewczynki i babcia, która się nami opiekowała. Początkowo do szkoły nie chodziłyśmy. Uczyłyśmy się w domu, po polsku. Czytałyśmy polskie książki, które Polacy wypożyczali sobie wzajemnie.

Nie chciałam za nic nauczyć się rosyjskiego. Kiedy już umiałam, nie przyznawałam się do tego i mówiłam do wszystkich miejscowych dzieci i dorosłych po polsku. Coszło do tego, że dzieci rosyjskie z którymi się bawiliśmy mówiły po polsku.

W r. 1943 zabrali mamę. Najpierw więzili w NKWD w Żurawlowce, potem przewieźli do Karagandy, a następnie z wyrokiem 10 lat (b3 paragraf) wadzili do obozu pod Karagandą (pociąg Bielajok). Pozostałam z polską rodziną, która się mną opiekowała. Trzeba było zacząć chodzić do szkoły. Wtedy okazało się, że świetnie sobie radzę z rosyjskim. Obie z moją przyjaciółką Irenką poszłyśmy od razu do 2 klasy. Też z moją ambicją było, żeby uczyć się bardzo dobrze, lepiej niż rosyjskie dzieci. Obie z Irenką zostałyśmy "otlicznicami".

stawiano nas za przykład, bo byliśmy dobrze wychowane - to się podobało. Wyróżnialiśmy się na tle klasy, również swoim zadbanym wyglądem.

Do Polski przyjechałam w 1946 r. całym dużym transportem, tylko mama została w obozie pod Karagandą i wróciła dopiero w 1948 r. Ojciec (z Kozielska - przyp.red.) nie wrócił wcale. Na cmentarzyku w Żurawłówce zostało kilkoro polskich dzieci i kilkoro dorosłych.

Wiem, że to co napisałam o sobie, jest bardzo powierzchowne, lakoniczne i skrótowe. Są to jednak wspomnienia bardzo przykre i grzebanie w nich, rozdrapywanie tego co się zbliżniło jest bardzo bolesne, tym bardziej, że dziś inaczej to wszystko rozumiem.

Dlatego mnie już Ieszku więcej nie męcz i nie zmuszaj do pisania dalszego ciągu opowieści. Dalszego ciągu nie będzie.

Krystyna

Rozumiemy Kryską i cięższym się jednocześnie, że utrwaliła swój ślad od zapomnienia. Ślad ważny, rzucający trochę światła na "sybirskie czasy", które przeżyła w ciągu 6 lat w Kazachstanie... I szczęście, że przywiozła ze sobą kilka zeszytów, zeszytów szczególnych, które są dokumentem czasów II wojny i tragedii wywiezionych dzieci polskich na olbrzymie, bezkresne tereny ZSRR. Zeszyty te - to prawdziwa narodowa relikwia. Temat do prac naukowych, artykułów, spotkań, temat, którego nie da się i nie wolno zapomnieć - to cząstka naszej historii i naszej kultury.

Kto z nas w czasach młodości nie pisał wierszy? Kryśka pisała je też. Tam, w dalekim Kazachstanie. Jako nastoletnie dziecko. Podajemy jeden z nich:

Wszystcy z lękiem patrzyli
Wszystcy z lękiem czekali
Aż nareszcie popłyną
Wielkie kry w oddali.
Aż tu woda zalała
Rzeką wieś całą
Żeby dom się nie zwałił
Było lęku niemało.
Lecz się cała ta powódź
Na dobre skończyła
A po niej następuje
Nasza wiosna miła.

Wszystcy z lękiem patrzyli
Wszystcy z lękiem czekali
Aż nareszcie popłyną
Wielkie kry w oddali.

Aż tu woda zalała
Rzeką wieś całą
Żeby dom się nie zwałił
Było lęku niemało.

Lecz się cała ta powódź
Na dobre skończyła
A po niej następuje
Nasza wiosna miła.

Nasza wiosna miła.

Żurawłówka 18.IV.1946 r.

(zachowaliśmy oryginalną pisownię)

HARCERSKIE ZNAKI CZASU...

"WIELKI NIEDŹWIEDZICY" po raz trzynasty.

"Nigdy przedtem w całej naszej historii naród polski nie osiągnął takiego zespolenia, jak w latach ubiegłej wojny. Armia Krajowa była czymś więcej niż wielką organizacją podziemną: była solidarną znową całego narodu. Upadły w niej wszelkie podziały społeczne, polityczne, pokoleniowe czy jakiegokolwiek inne.....

Loza nawiasem narodowej jedności czasów wojny pozostała rządząca grupa komunistów, która mimo wszelkich pozorów w oczach społeczeństwa była agenturą zaborczego mocarstwa. Przetrwała w świątyni narodowej geneza rządów przyniesionych z zewnątrz na bagnach nowego okupanta, osadzonych przez niego siłą i terrorem. Co więcej stosunek Rosji do Powstania Warszawskiego i Armii Krajowej, a później stosunek reżymowej propagandy najprzód do ogółu żołnierzy AK, a następnie już tylko do ich dowódców sprawił, że ten nawias zamienił się w niewidoczną barierę, nie do usunięcia, która znalazła swój wyraz w owym przeciwstawieniu "my" i "oni".

(J. Nowak Jeziorański:

"Kurier z Warszawy")

Tak przedstawia się uzasadnienie historyczne owego podziału "my" i "oni", który nie ominął organizacji w przeszłości identyfikowanej z najlepszymi aspiracjami narodowymi i społecznymi - Związku Harcerstwa Polskiego. Jak to wygląda dziś? Jak dzisiaj przedstawiają się "oni" w harcerstwie? Czy w większości zasłużenie dziedziczą "przydział" do owej grupy "oni"? Sądzę, że nie. I sądzą, że nie zawsze są tego "przydziału" świadomi. Czym się więc wyróżniają? Wieloletnie obserwacje zezwalają na stwierdzenie, że cięplamiarne warunki i możliwość awansu politycznego w ZHP zaowocowały sylwetką instruktora zniewolonego, dobrze zlokalizowanego w systemie układów personalnych, pozbawionego własnej inicjatywy i odwagi cywilnej. Ubocznym skutkiem politycznego uprofilowania w przeszłości Związku był i pozostał liberalizm wobec zasad Prawa Harcerskiego. To głównie ten liberalizm wobec Prawa najbardziej boleśnie odczuwała młodzież, najżywiej reagowała na jawne łamanie Prawa, by w efekcie protestować opuszczając szeregi ZHP. Ileż czasu upłynęło, by głośno i oficjalnie Związek wyartykułował w Statucie, że Prawo Harcerskie obowiązuje wszystkich tak instruktorów, jak i młodzież.

Oglądać się wstecz możemy tylko po to, by korzystać z doświadczeń dla dalszej pracy. Nas czeka harcerska praca - w aktualnej sytuacji niełatwa. Zdarzyło się już, że usiedliśmy w braterskim kręgu "my" i "oni" i "odłączeni". Wszyscy odpowiedzialni wiemy, że w tym kręgu trzeba usiąść, jeżeli się ma poważny stosunek właśnie do Prawa Harcerskiego, w jakiegokolwiek wersji by ono było sformułowane. W tym kręgu wiedzieliśmy, że zatarcie podziałów nastąpić musi choć jest sprawą przyszłości.

Życzę siedzącym w kręgu braterstwa instruktorom, by krąg umiał się skupić na wizji przyszłości wychowawczej małej Polki i małego Polaka, by budował jedność, w której upadną wszystkie podziały. By była to jedność narodu taka, jaką reprezentowała Armia Krajowa. Jedność w imię wartości wyższych.

To trudne zadanie chcemy realizować na gruncie Prawa Harcerskiego. Wiemy, że nie dla wszystkich to będzie łatwe, ale tworząc wzorce wychowawcze musimy się Drunni i Druhowie rozliczać wspólnym mianownikiem - a takim dla nas jest nasze Prawo.

"Wielka Niedźwiedzica"

z korespondencji...

Szanowny Druhu!

Wrocław 8 listopada 89.

Zostałem sprowokowany przez Druha do zajęcia stanowiska w sprawach toczących się w środowisku harcerskim obecnie. Te moje osobiste uwagi proszę przyjąć jako obserwacje czyjeś, kto od czasu wojny jedynie przyglądał się ruchowi harcerskiemu, ale przez całe czterdziestolecie był w bliskim kontakcie z dorastającą młodzieżą i starał się ją zrozumieć.

Otóż ta młodzież - w swym jądrze wartościowa i ofiarna - przez indoktrynację w szkole i wszelkich dozwolonych organizacjach z konieczności stała się dwulicowa. Były prawdy oficjalne, które dla bezpieczeństwa należało głosić, i te drugie - wewnętrzne, zamknięte - które ujawniały się jedynie w warunkach ekstremalnych. Niestety ówczesne ZHP było jednym ze środków indoktrynacji młodzieży i wziętym polem działania dla osobników pragnących tą drogą dobić się kariery, lub conajmniej mieć komfort wyżycia swoich aspiracji dyrygowania innymi za wszelką cenę. Obie te przyczyny - jakże dalekie od ideałów harcerstwa - wprowadzały dominantę zakłamania do całego ruchu. W obecnym oficjalnym ZHP nie widzę dostatecznej woli odcięcia się od dotychczasowych praktyk i ludzi, którzy je reprezentowali, a wręcz przeciwnie próbę dalszej manipulacji. Niech takim drobnym przykładem będzie zastąpienie w przyrzeczeniu harcerskim tradycyjnego "bliźniego" przez "każdego człowieka", co jest niby równoznaczne, ale jest równocześnie jaskrawym odtrąceniem tego wszystkiego w tym słowie co wyrasta z kultury chrześcijańskiej.

Nie - nie jestem przekonany, że obecne oficjalne ZHP chce służyć - chce nadal jedynie rządzić - a to w dzisiejszych czasach, dla dzisiejszej młodzieży jest nie do przyjęcia. Cóż - zakamary się czasy totalizmu, wkraczamy w odradzającą się demokrację pluralistyczną i oczywiście musimy się jej uczyć. A ta młoda demokracja - jak młode wino - jeszcze jest mętna, jeszcze się burzy i zradliwie uderza niekiedy do głowy. Trzeba czasu, aby nabyła właściwego koloru i bukietu. Stąd nie dziwi mnie rozbitcie w obecnym ruchu, uważam ten objaw jako całkowicie naturalny - jako koszt tego największego osiągnięcia jakim jest jego odkłamanie.

Edy uda się z powrotem ten ruch scalić? Być może, ale na to potrzeba czasu i napewno nie w tej postaci w jakiej pamiętamy go z czasów naszej młodości. Przecież dzisiejsza młodzież jest tak różna od tej jaką kiedyś byliśmy w zasobie informacji, zainteresowań - ba, możliwości i umiejętności zaspokajania swoich aspiracji. Ta zwiada musi odbijać się wyraźnie i w formach organizacyjnych odpowiadających tej młodzieży. Dlatego też jej trzeba w tych sprawach oddać głos decydujący, a ci, którzy już tą młodzieżą nie są, niech ograniczą się jedynie do życzliwego doradztwa i pomocy. Niech tej młodzieży służą, a nie próbują nią dyrygować. Bo tak rozumiana służba jest jądrem istoty harcerstwa.

Dlatego też nie bardzo rozumiem dlaczego ten nasz wielki pluralizm musi być równoznaczny ze skłóceniem. Dlaczego racja musi być po jednej stronie? Może istnieje wiele dróg, w których mieszczą się ideały harcerskie? Może przyszłe harcerstwo zjednoczone wspólną ideałów, niezakłamanie, swobodne w obieraniu dróg, będzie tym o jakim winniśmy myśleć.

C z u w a j !

M. ZAKRZYŃSKI

Wileńscy „Zawiszacy” (fragment)

Bolesław Pietraszkiewicz

Komendy Chor gwi, tak męskiej, jak i żeńskiej, zorganizowały wspólną łączność dla harcerstwa i dla działalności konspiracyjnej w szerokim zakresie. Szefostwo tej łączności objął osobiście, a moimi zastępcami byli: hm inż. Jan Wyszewicz i hm Maria Steckiewicz, a następnie hm Weronika Gojżewska. Służbę tę pełniliśmy aż do chwili wyzwolenia Wilna przez Armie Radziecką w lipcu 1944 r..

Głównym punktem kontaktowym dla łączności i magazynu sprzętu radiotechnicznego była pracownia elektrotechniczna Kombinatu Spółdzielczego „Sodyba” przy ul. Wielkiej 50, która podlegała mi jako elektrotechnikowi kombinatu. W jego skład wchodziły liczne fabryki przemysłu spożywczego, magazyny warzywnicze, przetwórnice owocowo-warzywnicze i inne obiekty rozrzucone po całym mieście dla utrzymywania kontaktów i działalności konspiracyjnej. Na tym posterunku wzorowo pomagał mi p hm ppor. Witold Drozdowicz.

Przy ogromnym ruchu, jaki panował w mojej pracowni w „Sodybie”, nie rzucało się w oczy kontaktowanie się ze mną łączników. Tu zbierano meldunki, stąd przekazywano instrukcje, rozkazy itp. materiały przez łączników i łączniczki w teren. Tu również wśród materiałów elektrotechnicznych „Sodyby” przechowywano sprzęt elektrotechniczny - radiowy do przetrzutów w teren.

Większość pracowników „Sodyby” stanowili Polacy o bardzo wysokim wyrobieniu politycznym, moralnym i patriotycznym, co niezwykle ułatwiało nam działalność. Na szczególne wyróżnienie zasługują kierownik magazynu głównego p. Sieroszkowski i kierownik transportu, z którego usług transportowych bardzo często korzystaliśmy dla dokonywania przetrzutów, zwłaszcza w teren.

Zastępcym punktem naszej działalności konspiracyjnej i łączności była pracownia elektrotechniczna przy ul. Załkowej 16 pod firmą „Elektrodirtube” założoną i prowadzoną przez

11.11.1989

Tym razem w starych murach za-przyjaśnionej z Kręgiem „Katowni”, odbyło się kolejne spotkanie Harcerskiego Uniwersytetu Społecznego.

Hm Zbigniew Raczkiewicz z Gdyni-skich Szarych Szeregów mówił o „Sy-lwetkach harcerskich na przestrzeni dziejów”, a prof. Jerzy Mnorowski wyświetlał i komentował przesrocz-a o „Drogach do Niepodległości”...

Po HUS-ie o godz. 18,00 byliśmy na uroczystej Mszy św. odpra-wianej przez ks. biskupa Ezydenta Pawłowicza, z okolicznościową, pa-triotypyczną homilią.

Po raz pierwszy od lat nie by-ło żarów, gazów, szamotaniny i pole-waczek. Był spokój... 1981

ci była pracownia elektrotechniczna przy ul. Załkowej 16 pod firmą „Elektrodirtube” założoną i prowadzoną przez hm inż. Jana Wyszewicza „Szczepana”, zastępcą jego w pracowni był Maciek Jakimowicz „Waciu”. Konserwowano tu i ładowano akumulatory do polowych radiostacji nadawczych i odbiorczych oddziałów partyzanckich, tu też legalizowano zatrudnienie osób związanych z działalnością konspiracyjną. Wystawiano zaświadczenia pracy chwizytorom firmy upoważnionym do zlecania zamówień dla pracowni na naprawy, remonty urządzeń elektrotechnicznych, zakładanie nowych urządzeń i instalacji oświetleniowych, siłowych itp. Wzrost oszczędności w działalności konspiracyjnej nie tylko na terenie Wilna, ale co najważniejsze, także i na terenie Wileńszczyzny.

Zaświadczenia takie otrzymali m.in. płk a później gen. Aleksander Krzyżanowski, Mieczysław Baruszcak, Tadeusz Pawłowski, Olgierd Maculewicz, Łapiński, Henryk Cybulka, Tadeusz Bielawski, Antoni Oleśzkiewicz, Bolesław Kijuć - sekretarz Komendy Chorągwi oraz prof. dr Wacław Staszewski (który pod pokrywką kursów języka angielskiego prowadził szkolenie dywersyjne), Kulesza, Jadwiga Sterpejkowicz i inni, razem około 20 zaświadczeń stałych.

Przy ul. Zamkowej 16, nocami (przy znakomitym zaciemnieniu i po zamknięciu pracowni na kłódkę od ul. Zamkowej) wywoływano zdjęcia fotograficzne, sporządzano mikrofilmy, które następnie umieszczano w odpowiednio zamaskowanym środkowym, ogniwie baterijek. Baterijki te w komplecie z oprawką i żaróweczką przekazywano m.in. do Londynu przez Moskwę i Irak.

Tutaj również, według opracowanej przez Konrada Jakubowskiego dokumentacji technicznej, wykonano elektryczną zapalarkę o napędzie mechanicznym, którą odebrał do stosowania w dywersji (z dobrym wynikiem) projektodawca.

W 1943 r. zaistniała konieczność uruchomienia przez hm inż. Jana Rymaszewicza następnego punktu w postaci elektrotechnicznych warsztatów naprawczych przy ul. Zawalnej, gdzie odtąd naprawiano krótkofalówki oddziałów partyzanckich z terenu Podbrodzia. A gdy punkt ten znalazł się pod obserwacją gestapo, dalszą obsługę wykonywano przy ul. Stefańskiej w klasztorze ss. szarytek i przy Białym Zamku 5, również pod kierownictwem hm inż. Jana Rymaszewicza.

Zorganizowano też punkty kontaktowe przy ul. Krakowskiej i na Popławach, które nie odegrały większej roli.

W ramach łączności zorganizowaliśmy akcję przerzutu do Warszawy osób poszukiwanych przez gestapo. Akcją tą prowadziły kolejowe drużyny konduktorskie pod komendą HR Jana Aleksandrowicza "Gustawa" z 14 WDM. W skład tych drużyn wchodził także członekowie 5 WDM, 7 WDM i 14 WDM. Dzięki nieszychanemu poświęceniu, odwadze, silnej krwi i wprost bohaterstwu tych drużyn, przerzucono do Warszawy w czasie okresu okupacji ok. 150 osób, oczywiście z przygotowanymi dokumentami jako kolejarzy. Według wieści, jakie do nas dotarły po zakończeniu działań wojennych, HR Jan Aleksandrowicz i większość jego drużyny konduktorskiej zginęła na posterunku...

W wileńskim Urzędzie Pocztowym została zorganizowana komórka wywiadu, mająca na celu odszyfrowanie i ujawnianie oraz wycofywanie donosów na działaczy Polaków i na ukrywanych przez Polaków - Żydów, wysyłanych drogą pocztową do gestapo. W tej komórce z naszego pionu pracowała H. Rodziewiczówna i Karol Chochołowicz. Dzięki tej komórce pracującej z całym poświęceniem, wielu Polaków uratowano życie i zapobieżono aresztowaniom Żydów przechowywanych przez Polaków. W tej służbie wyróżnił się jako łącznik z zagrożonymi Józef Jakubowski z 4 WDM.

fragment z t. 2 Szare Szeregi-Harcarze
1939 - 1945



Ostatnie przesłanie hm Stanisława Porębskiego...

W dniu 23 października 1989 roku na zamku Piastów w Oleśnicy k. Wrocławia, gdzie mieści się ośrodek szkolenia kadr instruktorskich ZHP, w sali im. Aleksandra Kamińskiego, odszedł nagle na Wieczną Wartę, wybitny krakowski instruktor, żołnierz Szarych Szeregów, pchor. "Szreniawa" - hm Stanisław Porębski.

Czy odszedł? Raczej padł na posterunku, w mundurze harcerskim, w trakcie swojej wypowiedzi, na samym początku dorocznego spotkania przewodniczących chorągwianych komisji historycznych, zorganizowanego przez Główną Kwaterę ZHP.

Sam związany z ideą harcerską "od lat najmłodszych do późnej siwizny", kiedyś hufcowy w Krakowie, potem żołnierz oddziału partyzanckiego "Jędrusie", ostatnio niestrudzony popularyzator dziejów Szarych Szeregów, organizator wrześniowego Jubileuszu 50-lecia krakowskich Szarych Szeregów na Lubogoszczy - nie mógł się pogodzić z istniejącym rozbitciem jednolitego dotychczas Związku Harcerstwa Polskiego. Istnienie obecnie 21 różnych organizacji harcerskich, dowodzi kompletnego rozbitcia najprężniejszego dotąd ruchu młodzieżowego, który tak dobrze służył zawsze Polsce.

O tym wszystkim mówił hm Stanisław Porębski z ogromnym żarem wewnętrznym i bólem, iż mogło dojść do takiej sytuacji u progu 80-lecia istnienia ruchu harcerskiego.

Zażądał rozliczenia poprzedniego Naczelnika ZHP, który doprowadził Związek do obecnego stanu nie uwzględniając żadnych sygnałów z terenu, nie podejmując rozmów z KIHAM-em i lekceważąc nabrzmiewające problemy.

Równocześnie zaapelował o ustąpienie obecnego Naczelnictwa ZHP oraz doprowadzenie do Walnego Zjazdu z udziałem zainteresowanych nurtów, celem ocalenia jedności Harcerstwa.

Mówił także o deprecjonowaniu statusu instruktora harcerskiego, pełniącego zwykle swoje funkcje społecznie i honorowo, a obecnie zamienionego niemal na zawód "harcerza".

Te słowa gorzkiej prawdy i szczerzej instruktorskiej troski, kosztowały Go życie.

Po nich bowiem, pełnych głębokiego zaangażowania i poczucia odpowiedzialności za przyszłość bliskiej sobie organizacji, zasnął - i... odszedł...

Odszedł w najtrudniejszym dla Harcerstwa czasie On, Autor słynnej marcowej gawędy do młodych krakowskich instruktorów, którą zaczął od słów: "Gdy powódź przerywa wał - nic już nie wstrzyma nowego nurtu. Ale po czasie... rzeka najczęściej wraca do swego koryta".

Czy śmierć ta była daremna, czy otworzy nowy rozdział w historii organizacji?

Czy testament ideowy przekazany z takim bólem i żarem serca, które nie zostało obojętne, zostanie prawidłowo odczytany, podjęty i zrealizowany przez Adresatów?

Przypominają się słowa Ewangelii: "Jeżeli ziarno wrzucone w ziemię nie obumrze, zostanie samo..."

Miejmy nadzieję.... C z u w a j m y !

hm Maria Żychowska
Tarnów

Tarnów - Kraków 11 listopada 1989

FILATELISTYKA



- dwa znaczki z serii wydanej przez pocztę ZSRR w dniu 17 września 1939, upamiętniające "oswobodzenie bratnich narodów"...
 A my pamiętamy, że to był zdradziecki nóż w plecy walczącej z hitlerowcami Polski i początek IV Rozbioru...



- ... a po 10 dniach powstały Szare Szeregi...

Poniżej:

Datownik stosowany w Upt Warszawa 1 w dniu 1989-09-27 z okazji 50 Rocznicy powstania Szarych Szeregów. Przedstawia lilijkę harcercską na tle szaroszeregowej kotwicy.

50 rocznica napaści Niemiec hitlerowskich na Polskę

Obrona Cywilna Warszawy
 1939



KARTKA POCZTOWA



REDAKCJA „ONC”

CHORĄGIEW GDAŃSKA

WITA STWOSZA 54/49

80 308 GDAŃSK-OLINA

NASZA PRACA

27-30 kwiecień 89

Kominek harcerski
trasy "Seniorów"

z Rajdu "Rodko" organizowanego przez naszą chorągiew. Z naszych biorą w nim udział Stanisław Katzer i Sylwester Glapiak. W kominku uczestniczyli oprócz nich Maryla, naczelny "ONC" i drużynowy Kręgu. Ciekawie wypowiadał się jeden z "Seniorów" ze Śląska o odwadze naszej Chorągwi organizującej rajd pod hasłem Rodka...

piszą o nas...

"Pomorze" - 2/25/89

ONC - OJCZYŻNA NAUKA CNOTA
GŁOS INSTRUKTORÓW KRĘGU
IM. ANDRZEJA MAŁKOWSKIEGO

Z ogromnym opóźnieniem dotarły do naszej redakcji 4 numery Biuletynu Chorągwi Gdańskiej z Kręgu Instruktorów im. A. Małkowskiego pod w.w. tytułem, a dotyczącej: jesieni 1986 roku, zimy 1986-87 roku, jesieni 1987 roku i zimy 1987-88 roku. Pierwsze dwa numery wyszły pod redakcją p.wd. Alny Zablockiej, a następnie opracował ten sam zespół z Kręgu Instruktorów Chorągwi Gdańskiej im. A. Małkowskiego, lecz pod redakcją hm. PL Jana Bymaszewicza.

Motto w pierwszych numerach wzięto z tekstu żołnierza Powstania Warszawskiego, wybitnego niemieckiego poety Krysztofa Kamila Buczyńskiego

"No kto nie kochał kraju
i nie żył
choć przez chwilę jego ognia
drieniem
i chociaż w dniu potopu w tę miłość
nie wierzył -
to temu żadna ziemia nie będzie
zbawieniem".

Motto kolejnych numerów wzięto z wypowiedzi Kardynała - Stefana Wyszyńskiego i hm. Michała Głuchynskiego. Też powołując się na numery fascynujące czytelnika głębia miłości do ojczyzny i młodziego pokolenia.

Fragmencie szczególnie zwrócić uwagę na kilka cennych artykułów.

Maria Hrabowska w artykule pt. "Gawęda na zamówienie druchów z '83'" omawia harcerstwo po październiku 1983 r. a Józef Grzesiak w cyklu "Na słonecznym szlaku" omawia początki "Czarnej 13" sięgające harcerstwa w Krakowie w początkach XX wieku, także przez kilka kolejnych numerów snuje swą opowieść Paweł Mokwański, który w artykule "Byliśmy, jesteśmy, będziemy..." omawia buhatorskie harcerstwo b. Wolnego Miasta Gdańska. Te tematykę porusza także Edmund Wiśniewski w kilku kolejnych numerach pod tytułem "Harcerze W.M. Gdańska w ćwiczeniach i szkoleniu w zakresie przysposobienia wojskowego (PW)".

"Honorowi Harcerze Rzeczypospolitej" to kolejny artykuł w opracowaniu Eugeniusza Sikorskiego.

O ochronie przyrody pisze Magdalena Suchocka, a Gwiew przybłądził czytelnikom anonimowy autor. Romuald Wołodko - ratownik WOPR w artykule "Woda - ten piękny dar... Bugaj" namawia harcerzy do służby na wodzie w szlachetnym ratowaniu życia.

W numerze z zimy 1988 r. można znaleźć cenny artykuł E. Sikorskiego "Dzień Myśli Braterskiej" o 22 lutego, w którym harcerki całego świata spotykają się, wspominają imprezy harcerskie, przesyłają pozdrowienia zaprzyjaźnionym kręgom itp. W numerze znajdują się także rocznicowe materiały dot. 125 rocznicy Powstania 1831 r., 100 rocznicy urodzin Ogi i Andrzeja Małkowskich, i Jerzego Kazimierczaka "Arsenal 45 rocznica akcji Straty Szeregów".

Numerzy pozostające w swym bogatym wnętrzu zamieszczają wiersze znanych poetów omawiają ciekawą imprezę harcerską i przedstawiają kalendarz aktualnych imprez harcerskich.

Gratulujemy Belceki, tak dojrzałego pisma.

LFK

4 maj 89 Udział Maryli Hrabowskiej, Ronka Koturbasza i Witolda Rusiniaka w spotkaniu Komitetu Budowy Pomnika Marszałka Piłsudskiego w Gdańsku.

6 maj 89 Rada Kręgu na której omawiano sytuację po Zjeździe ZHP (statut), była relacja z uroczystości i spotkania z biskupami (ks. biskupem Pawłowiczem i ks. biskupem Córnyym) oraz Rajdu "Rodko", ustosunkowywano się do ZHR i co najważniejsze: uchwaliliśmy upamiętnić Józefa Grzesiaka "Czarnego" tablicą pamiątkową. Co niektórzy twierdzili, że mamy już w tym wprawę...

12 maj 89 Uroczystości związane z ponownym nadaniem Stoczni Remontowej imienia Marszałka Józefa Piłsudskiego. Była Msza św. u Brygidy, kasanie ks. biskupa Zygmunta Pawłowicza, potem kilkunastotysięczny pochód ze Śródmieścia do stoczni, powitanie wnuczki Marszałka, przemówienia, odsłonięcie (po raz drugi) nazwy stoczni i na koniec Marsz Pierwszej Brygady odegrany przez wojskową orkiestrę Wojsk Ochrony Pogranicza. Krąg reprezentowali Jan Winklewski i Leszek Rusiniak.

18 maj 89 Korespondencja w sprawie tablicy "Czarnego", Komisja Kształcenia Kręgu na której dh Joanna Grochowska z Kwidzyna "zdobywała" stopień Harcerki Rzeczypospolitej...

19 maj 89 Spotkanie Kręgu Seniorów "Korzenie" z prelekcją "Historia i legenda Józefa Piłsudskiego" wygłoszoną przez mgr Adama Michalaka.

20 maj 89 Nocne Kręgu śpiewanie na Mszy św. dla marynarzy i rybaków na morzach świata i Polaków słuchających mszy na olbrzymich obszarach ZSRR...

27 maj 89 Uroczystości kościelne wyświęcenia na kapłanów Jasia Jankowskiego i Darka Cieniewicza.

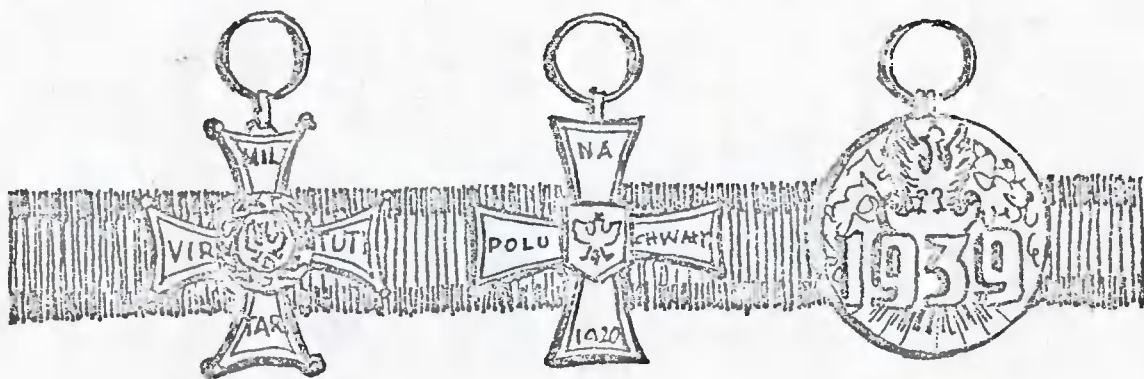
1 czerwiec 89 Pogrzeb dh Bolesława Polkowskiego "Niedźwiadka" na Cmentarzu Witomino.

CDN

I/866

WONC

W OJCZYŹNĄ
NAUKĄ CNOTĄ



GŁOS INSTRUKTORÓW KRĘGU
IM. ANDRZEJA MAKKOWSKIEGO
CHORĄGIEW GDAŃSKA

GDAŃSK 1939 - JESIEŃ

Od mogił żołnierskich nie odchodzi się ze złamaną duszą. Nie odchodzi się z poczuciem klęski i beznadziejności, ale z niezbitym przekonaniem, że oto wyrosła nowa wartość ducha, wartość nie moja, nie twoja, ale nas wszystkich - wartość należąca do całego narodu.

Edward Śmigły - Rydz



Redaguje zespół z Kręgu Instruktorów Harcerskich
Chorągwi Gdańskiej im. Andrzeja Małkowskiego

Redaktor Naczelny - hm Jan Rymszewicz

Opracowanie graficzne - hm Stanisław Katzer

Opracowanie numeru - hm Witold Lech Rusiniak

Redaktor techniczny - hm Sylwester Glapiak

oraz:

Joanna Grochowska - Kwidzyn

Jan Trojak - Wrocław

Henryk Więcek - Poznań

Ida Rusiniak - Gdańsk

Witold - Lech Rusiniak - Gdańsk

Krystyna Konaszewska - Gdańsk

Maria Hrabowska - Gdynia

Maria Żychowska - Tarnów

Marian Zakrzewski - Wrocław

Bolesław Pietraszkiewicz - Poznań

Szarym Szeregom

Druhowie Szarych Szeregów!
W "Pasiece" daliście przykład męstwa.
Jak trzeba za Polskę walczyć, unierać,
Gdy braknie pocisków, a sił jeszcze starcza
Krwia serdeczną do wrogów strzelać.

Orły! spod Arsenалу, Celestynowa,
"Enowskiej" prasy ofiarni kolporterzy,
Z zamachu na Kutscherę; spod Udorza,
Wyście chlubą i dumą polskich harcerzy.

Wy, spod gilotyn, szubienic, obozów zagłady
Świećcie na niebie historii Harcerstwa
Jako przewodnie, promieniste gwiazdy
W aureoli cichego bohaterstwa.

Kiedy Wam przyszło odejść na Wieczną Wartę,
Harcerska dusza spod kaźni tchnęła
Ostatnim słowem - zamknęła ziemską kartę -
"Jeszcze Polska nie zginęła!"

Gdyby jeszcze kiedy zaszła potrzeba
I przyszło walczyć i Polski bronić,
Całe Was "Roje" spłyną prosto z nieba
I duchem będą zwycięsko hetmanić.

Jak długo Harcerstwo istnieć będzie,
Krocząc po ONC-kim szlaku,
Będziecie żyć w serc naszych legendzie
Naczelniku "Pasieki" - Druhu Marciniaku!

Chylimy w hołdzie sztandary pamięci
Przed Wami, co za wolność padliście w dobiegu...
Niechaj Wam słońce wiecznej chwały świeci -
Bohaterskim żołnierzom SZARYCH SZEREGÓW.

Edward Nowak

Wszystkich zainteresowanych aktualną sytuacją w harcerstwie, oraz tych, którym sprawa ta leży na sercu i jest bliska, zapraszamy do dyskusji, wyrażenia swoich myśli, wyłożenia swoich racji, czy też określenia stanowiska.

Redakcja



OSTASZKÓW

KLASZTOR NA WYSPIE

Obóz jeńców polskich w Ostaszkowie był zlokalizowany na jednej z wysp jeziora Seliger. Od miasteczka - od którego przyjął nazwę - był oddalony o prawie dwugodzinną podróż statkiem. Ostaszków był miejscem przeładunku jeńców z wagonów kolejowych na statki i szalupy. Jeńcy miasta nie znali, bowiem stacja kolejowa była tuż koło portu.

Jezioro Seliger jest na tyle olbrzymie, że w atlasach szkolnych na mapach Rosji europejskiej jest zaznaczone. Daje ono początek na największej rzece Europy - Woldze. Jezior jest mocno rozgałęzione,



tworzy kształt ogromnej ośmiornicy. Posiada wiele półwyspów i wysp. Jedna z nich znana jest od XVI wieku, kiedy to na bezludnej wyspie osiadł w 1528 roku pustelnik Nił Stobienski. Wokół pustelni powstało wiele legend. Według nich bogobojny mnich żywiący się tylko żołądziami, mieszkający w pieczarze nie kładł się do snu - ślubował śkupowanie.

Aby opanować swoje zmysły nigdy nie siadał, a spał wicząc na hakach, jak nietoperz. Tak przeżył na wyspie 27 lat. Od jego imienia pochodzi nazwa wyspy znana nam jako jeńcom - Niława Pustynia. Istnieją też inne nazwy: Stołobnoje - od nazwiska pustelnika i Iłowaja.

Legenda o świętobliwym pustelniku przyciągała pielgrzymów. Wkrótce na miejscu celi Niła zakonnik Gierman wybudował drewniane cerkiew i klasztor. Początkowe surowe reguły Niła Stołbieńskiego zmieniły się, gdy przełożonym klasztor został Niektorii Tielaszyn, który rządził pustelnią przez 50 lat. Nie gardził on ofiarami rodziny carskiej i licznymi datkami bojarów. Klasztor zdobywał rozgłos, coraz liczniej przybywali pielgrzymi do grobu Niła, rosła ofiarność pątników. Drewniana zabudowa stała się niewystarczająca. Z początkiem ubiegłego stulecia zaczęto budować klasztor w stylu klasycystycznym, według projektu petersburskiego architekta Szarlemana. Wśród jeńców opowiadano, że klasztor zamieszkiwało 4000 zakonników. Wyspa była sławna. Rodzina carska brała tam śluby, a pospólstwo czerpało wodę z cudownego źródła. W czasie rewolucji zakonnicy wraz z szukającymi w klasztorze schronienia oddziałami białych, przez długi czas się bronili. W końcu ulegli przemocy i wszyscy zostali wyrznięci lub potopieni w jeziorze. Szczątki doczesne Niła zostały demonstracyjnie zniszczone.

Kiedy w końcu września 1939 r. przywieziono nas na wyspę, mimo zdewastowania wojennego i usunięcia symboliki religijnych, mogliśmy sobie łatwo wyobrazić bogactwo i piękno dawnego klasztoru. Mówiły o minionej świetności przebijające pod wapna freski, bogate, kute bramy i resztki witraży.

Co się dzieło w zabudowaniach klasztornych od czasu zniszczeń

rewolucyjnych, nie bardzo mogę powiedzieć. Wiem jedynie od współ-
jeńca, który trafił do Ostaszkowa po raz drugi, że w 1920 r. prze-
bywali tam polscy jeńcy wojenni.

Od września 1939 r. do kwietnia 1940 r. zgromadzono na wyspie
12.000 jeńców. Po wymianie części żołnierzy do niewoli niemieckiej
i wywiezieniu żołnierzy pochodzących ze wschodnich terenów Polski
zajętych przez Sowiety dalej na wschód, pozostało jeszcze 6.000 ofi-
cerów, policjantów i kopistów. Jak nam dziś już wiadomo wszyscy zgi-
nęli. Zostali zamordowani na posterunkach NKWD w Kalininie (Twerze).
Ich wspólne mogiły znajdują się w Miednoje.

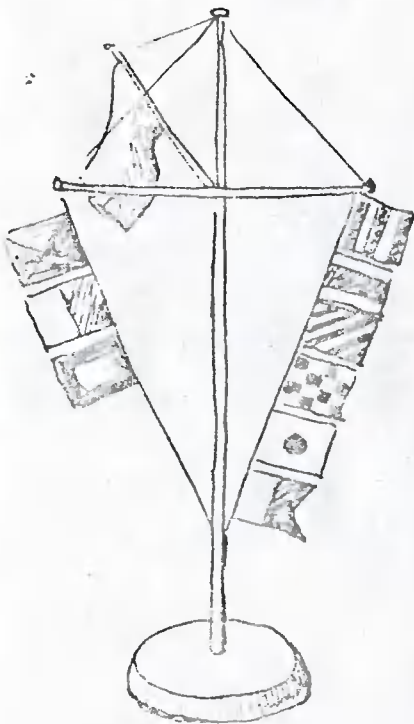
Później do Ostaszkowa jeszcze raz trafili polscy jeńcy. W 1944 r.
przywieziono tam żołnierzy Armii Krajowej. Jednak oni przebywali w
innym miejscu, w pobliżu miasta. Na wyspę ich nie zawieziono. Oba-
wiano się, aby mury klasztoru z Niłowej Pustyni nie powiedziały
prawdy o morderstwach dokonanych w 1941 roku.

Od tamtych dni, prawdopodobnie w klasztorze i cerkwi nic się
nie działo. Zabudowania uległy ruinie. Obecnie próbuje się je od-
budowywać.

O codziennym życiu jeńców polskich na wyspie, wśród których w
1939 r. znalazłem się także, opowiem w następnym numerze "ONC".

hm Henryk Więcek

wystawa 80 LAT HARCERSTWA W POLSCE"



Z okazji 80-lecia istnienia ruchu harcerskiego w Polsce Krąg Instruktorów Harcerskich im. Andrzeja Małkowskiego KIHAM w Gdańsku zorganizował wystawę dokumentującą historię tego okresu. Dzięki uprzejmości dowództwa Marynarki Wojennej dla celów wystawy udostępniono galerię w Klubie Marynarki Wojennej w Gdyni, ul. Zawiszy Czarnego 1. Uroczyste otwarcie nastąpiło dn. 24 października. Wśród zaproszonych gości znaleźli się m.in. ks. Tadeusz Gocłowski, biskup gdański, komandor Fręsko - przedstawiciel dowództwa Marynarki Wojennej, drużna Bednarczyk - przedstawicielka gdańskiej Komendy Chorągwi ZHP, hm. J. Fawłowski - przewodniczący chorągwanego Sądu Harcerskiego, hm J. Pastwa - przedstawiciel ZHR. Komisarzem wystawy jest hm. St. Katzer, odpowiedzialny jednocześnie za wystrój plastyczny oraz autor wielu prac pokazanych na wystawie. Obecni byli również liczni seniorzy ruchu harcerskiego, z hm. S. Glapiakiem, przewodniczącym Kręgu Seniorów Chorągwi ZHP w Gdańsku - "Korzenie", oraz sympatycy i goście kręgu. W trakcie otwarcia wystawy organizatorów reprezentowali przewodniczący Kręgu, hm. W. Rusiniak oraz hm. M. Hrabowska, przewodnicząca Naczelnego Sądu Harcerskiego.